CENA ZŁ 20

CZYTELNIK

Odra tygodnik

NUMER 48 (157) KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 28 LISTOPADA 1948 ROKU ROK IV

WROCŁAW
KATOWICE

Perspektywa Odry

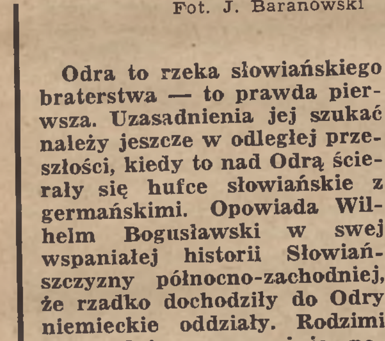

Fot. J. Baranowski

Odra to rzeka słowiańskiego braterstwa — to prawda pierwsza. Uzasadnienia jej szukać należy jeszcze w odległej przeszłości, kiedy to nad Odrą ścierały się hufce słowiańskie z germańskimi. Opowiada Wilhelm Bogusławski w swej wspaniałej historii Słowiańszczyzny północno-zachodniej, że rzadko dochodziły do Odry niemieckie oddziały. Rodzimi przewodnicy, przeważnie pochodzenia łużyckiego lub pomorskiego, wprowadzali Niemców w nadodrzański labirynt lasów, bagien i trzęsawisk, po czym znikali w gęstwinie, pozostawiając wojsko nieprzyjacielskie na pastwę losu, niewiadomym godzinom. Wówczas to zaś wypadali z upatrzonych poprzednio kryjówek rycerze bolesławowi, „popłoch czyniąc, jeństwo postronkami wiążąc, opornych zabijając“.

Od tych bolesławowych sławnych czasów minęło tysiąclecie całe. I znowu nad Odrą przymierze słowiańskie zaczęło odnosić zwycięstwa bitewne w ostatniej pogoni za uciekającym wrogiem. Tu to bowiem wojska radzieckie i polskie pokonały ostatecznie resztki armii hitlerowskiej, tu jak w owej starej łużyckiej piosence o rycerzach bolesławowych „zwycięstwo wielkie odnieśli... po raz pierwszy, drugi i trzeci“.

Pokonany został wróg i czas już, by słowiańskie braterstwo odrzańskie realizowało się w pokojowej pracy. Sprzymierzeńcem pokoju na Odrze, prócz Związku Radzieckiego najbardziej bezpośrednim, jest Czechosłowacja, sąsiad z południa, dla którego Odra stanowi żywą arterię ku morskim płucom, jakim jest nasze wspólne słowiańskie morze. To polityczne, gospodarcze i nie na koniec emocjonalne znaczenie Odry jako linii życia obu słowiańskich państw rozumiane bywa coraz bardziej nie tylko u nas, ale i, więcej zresztą może, na terenie Czechosłowacji.

Węgiel płynie Odrą i nasze towary świetne — śpiewa już teraz pewien czeski poeta, dobrze rozumiejący miarę uczucia, którą ten fakt należy określić. O Odrę opierają się nadzieje całego wielkiego zagłębia przemysłowego śląsko-morawskiego i to zadecydowało także o planach sztucznych dróg wodnych, które by stworzyły sieć połączeń — dla tych terenów, tworzących jedną gospodarczą całość, niezbędnych. Dlatego słuszne nam się wydaje twierdzenie, że polska Odra decyduje o przyszłości szlaku żeglownego Bałtyk — Morze Czarne.

Rzeka słowiańskiego braterstwa stanie się w ten sposób rzeką gwarantującą swobodny i naturalny rozwój narodom zachodnio-słowiańskim i innym położonym na linii słowiańskiej, gwarantującą dobrobyt.

Perspektywa Odry zatem to perspektywa harmonijnego współżycia narodów miłujących pokój na tej geograficznej linii, to perspektywa wiary w przyszłość tak gruntowanego pokoju. Jeśli do tego dodamy, że w ślad za harmonijnym współżyciem gospodarczym pójdzie współżycie kulturalne, o ile go nie wyprzedzi w ogóle, wówczas zyskamy pewność, że Odra stanie się kośćcem nowego współżycia narodów.

Jędrzej Makosz

EMILIA SUKERTOWA-BIEDRAWINA

Spod ciesielskiego ołówka

Na ziemi mazurskiej druga połowa XIX wieku zapowiadała się pod znakiem upadku ducha narodowego. Zamarło piśmiennictwo polskie. Padł na posterunku w kwiecie sił męskich bojownik o wolność i polskość Mazur, nieodżałowany Gustaw Gizewiusz. Zamknął zmęczone pracą oczy Krzysztof Celestyn Mrąga — Mrągowiusz. Wyczerpały się wydawnictwa polskie, zabrakło ksiąg poważnych „skarbnic mądrości“, za którymi tęsknił lud mazurski. Toteż światlejsi włościanie z różnych krańców ziemi mazurskiej własnymi pracami starali się wypełnić luki. Jednocześnie staraniem germanizatorów, pragnących wykorzystać zamiłowanie do czytelnictwa na Mazurach wśród ludu wiejskiego, powstawało kolejno szereg czasopism gadzinowych, które nie trafiały jednak do przekonania szerszym masom i upadały szybko.

Toteż kiedy pojawiły się pierwsze kalendarze Marcina Giersza począwszy od 1858 r. oraz jego „Gazeta Lecka“ — „dla naszego polskiego ludu“ jednały sobie czytelników i współpracowników. Ich redaktor Marcin Giersz, który w naszym pojęciu nie był postacią kryształową, który miał na sumieniu grzech przeciw polskości — odnosił się jednak do mowy macierzystej, do wszystkiego co rodzime, z gorącym umiłowaniem, zwalczał jednak „Rzym“ i kler, czego mu jego ziomkowie z centralnej Polski darować nie mogli. Właśnie to lęk przed zatraceniem mowy „naszego polskiego ludu“ skłonił Giersza do skrzętnego zabezpieczania pomników tej mowy. W jego rocznikach „Kalendarza Królewsko-Pruskiego“ przetrwały „poematy“ domorosłych pieśniarzy ziemi mazurskiej a mowa mazurska Fryca Olsiewskiego z Różyńska, Jana Lustycha w Małej Zawadzie, Jana Dondera w Lipińskich, Krzysztofa Lukasa z Rozóg, Fryderyka Mączki, Jana Gwiazdy i Augusty Upadki z Lelesek, Domasza z Mieruniszek, Anny Druby z Niedźwiedziów i innych, przetrwały w tej formie dla potomności i są świadectwem ducha narodowego Mazurów. W liczbie tych pieśniarzy znalazło się nazwisko Michała Kajki z Ogródka w pow. ełckim.

●

Do odległego od centrum kultury niemieckiej Ełku germanizacja, nabierająca stopniowo rozmachu, dotarła później, aniżeli do bliżej położonych Królewca miejscowości. W Ełku i wokół tego miasta przetrwały i trzymały się jeszcze stare piękne tradycje XVI wieku, razem z pierwszą szkołą partykularną polską, która przetrwała do 1810 r., kiedy ją przekształcono w niemieckie gimnazjum. Germanizacja w okolicach Ełku słabsze niż gdzie indziej czyniła postępy. Odsetek ludności mówiącej po polsku w tamtych stronach z 88,8% w roku 1825 spadł w roku 1861 zaledwie do 78,6%. Żywo trwało w pamięci Ełczan czasopismo „Przyjaciel Ludu Łecki“, którego duszą był Gustaw Gizewiusz, urodzony wprawdzie w Piszu, ale wychowany w Ełku, gdzie ukończył gimnazjum.

W odległości 17 km od stolicy Mazur, w zapadłej wsi Skomacku, wtłoczonej między 4 senne jeziora: Czarne, Tauto, Milusze i Druglin w dn. 27 września 1858 r. ujrzał światło dzienne lirnik i wieszcz ludu mazurskiego Michał Kajka. Tam, pod słomianą strzechą, przy ognisku domowym rozbrzmiewała jedynie mowa polska. *„Do długiego też czasu nie słyszałem języka niemieckiego“* — pisze w życiorysie swym Michał Kajka — bo nie było rzecz prosta człowieka, który porozumieć się mógł tym językiem. Istniała wówczas polska szkoła w Skomacku, a nauczyciel Polak, nazwiskiem Owczarek pierwszy uczył malca sylabizowania — prawdopodobnie na kancjonale Wasiańskiego. Owczarka zastąpił później „szkolnik“ Jasiński. *„Mając 10 lat uczęszczałem do szkoły ludowej w Rostkach Skomackich za czasów Kutza Polaka“* — stwierdza Michał Kajka. Według wspomnień jedynego pozostałego przy życiu syna poety mieszkającego dziś w Mrągowie, „ojciec opowiadał, że chętnie do szkoły uczęszczał, pilnie się uczył, czego nie mógł powiedzieć o dwóch braciach, którzy razem z nim, lecz niechętnie chodzili“ — tak pisze syn w wspomnieniach, które spisał dla Instytutu Mazurskiego. Czternastoletniego, najstarszego z rodziny chłopca bieda wypędziła z chaty, poszedł więc szukać chleba wśród polskiego ludu najpierw jako pasterz, później jako parobek. „W tym czasie, pisze syn, gdy widział, jak rzemieślnicy przy budowie pracowali, obudził się w nim gwałtowny ciąg do tego rzemiosła, i wkrótce zaczął się ciesielstwa uczyć, a potem murarstwa — oba te rzemiosła jako przedsiębiorca wiejski do końca swego życia wykonywał“.

Michał Kajka, samouk, poeta z bożej łaski, wcześnie imał się... ciesielskiego ołówka, którym płody swej duszy i wyobraźni notował często na desce lub belce siedząc na rusztowaniu, albo na kawałku papieru od pakowania... aby myśl nie uleciała. Ten cieśla wioskowy prenumeruje gazety w duchu polskim dla Mazurów wydawane. Jest m. in. gorliwym czytelnikiem „Mazura“, którego J. K. Sembrzycki od 1883 do 1885 r. w Ostródzie wydawał. W numerze styczniowym z 1896 r. „Gazety Ludowej“ redagowanej w Ełku przez Karola Barkego znajdujemy artykuł Kajki, który stwierdza: *„my gorliwi czytelnicy... nam z pamięci nie wychodziła gazeta „Mazur“ — potem wkrótce zgasła. Gazeta ta utkwiła w naszej pamięci... i której mocno żałujemy, że wychodzić przestała...“* Istotnie Sembrzycki nie przerwał kontaktu z młodym entuzjastą z Ogródka: w pierwszych numerach „Mazura wschodnio-pruskiego“ drukowanego w Tylży zamieścił miłą opowieść Michała, osnutą na tle życia polskiego na wsi w dawnych czasach. A. Bederski redaktor „Nowin Śląskich“ wychodzących we Wrocławiu od 1882 r. do 1889 r., w artykule zamieszczonym w „Mazurskim Przyjacielu Ludu“ zaznacza, że czasopismo śląskie cieszyło się wielkim zainteresowaniem wśród Mazurów, a w liczbie wymienionych korespondentów tego pisma podaje nazwisko Michała Kajki.

Do pisania wierszy — przyznaje się poeta z Ogródka w swej autobiografii — *miałem nadzwyczajną chęć, może i trochę talentu. Rozwijanie moich zdolności w dużej mierze zawdzięczam niedoli moich rodaków, których spotkała taka straszna krzywda za czasów Bismarcka, kiedy to zaczęto katować dziecko za używanie języka polskigo i to nieraz w sposób barbarzyński. Aby Boga uprosić o miłosierdzie dla ludu mazurskiego napisałem kilka poematów treści religijnej...“* W chwilach przypływu rozpaczy i bólu nasuwała mu się myśl, że „to kara za grzechy całej Polski“, że za te grzechy odpokutować należy. Kajka bowiem i jego pokolenie posiadali jeszcze poczucie narodowe, poczucie jedności polskiej. Odrębność dzielnicowa, „mazurskość“ w znaczeniu nie regionalnym a politycznym, zaszczepiona została dopiero przez działaczy pruskich w ostatnich dziesiątkach lat XIX wieku w sposób perfidny i z wyraźnym celem. Odtąd wszczęwszy walkę o mowę polską, prowadzi ją Kajka przez całe życie niepomny niebezpieczeństwa i kar, które mu groziły ze strony policji i administracji niemieckiej. Woła on śmiało: *Czyżby to nie było lepiej, gdyby — jak przed kilkudziesięciu laty — nauczyciele po polsku i po niemiecku nauczali, a religię wykładali po polsku? Pan ks. Batz powiedział raz po nabożeństwie w Ogródku: „na polskim nabożeństwie śpiewają o wiele piękniej niż na niemieckim...“* interpretuje dalej za swym kaznodzieją z Ogródka Michał Kajka. Bowiem przewodnią myślą poety mazurskiego staje się przede wszystkim chęć ratowania mowy macierzystej przed zagładą. Bezustannie nawołuje do jej pielęgnowania, stara się wzbudzić w sercach czytelników gorące przywiązanie do mowy polskiej. Oto jak pisze Michał Kajka:

„Czyliż wszystkie polskie hymny
z różnymi pieniamy
Mamy cisnąć w strumień zimny
i zdeptać nogami?
Lubo polskie kancjonały
albo też biblije,
takie nasze skarby drogie,
droższe nad to złoto,
Mamy wyrzucić na drogę
i zagrzebać w błoto?

I dalej:

Niechże polskie hymny, bracie,
echem odbijają
Niechże w każdej polskiej chacie
po polsku śpiewają
Slijcie Bogu polskie dźwięki
polscy koloniści
Bóg wysłucha wasze dźwięki,
prośby wasze ziści.

W przedmowie do zbiorku „Pieśni Mazurskich“ wydanych w r. 1927 staraniem „Gazety Mazurskiej“, drukowanych w Warszawie pod firmą, udzieloną przez Joannę Pieniężną w Olsztynie, tak przemawia autor w 1926 roku „Do Braci narodowości polskiej“: *„przyjmijcie tedy w nasze ręce bukiet moich poematów, które mają służyć ku pożytkowi i ku rozrywce polskiego narodu, niech padną na serca wasze, jak rosa na roślinę, pragnącą deszczu, a orzeźwiona, podnosi się na nowo, nie gardząc jej kształtem i położeniem, pomnaża się w wzroście. Tak i wy, pokochawszy wasz język ojczysty podług moich poematów z pokorą do Pana, a On przytomnym wam będzie. On zrozumie nasze polskie pieśni... Wy ojcowie i matki, nauczajcie dzieci wasze polskich wierszyków i polskich modlitw... Ku temu służyć wam mają moje poematy. Oby one doszły do najodleglejszego zakątka narodowości polskiej“...*

Rozpierała serce jego miłość do świętej po przodkach spuścizny oraz ogarniała rozpacz, bowiem *„szepczą nasze bory tęskliwe utwory nad zgonem naszej gadki“...* Wszakże na ziemi mazurskiej z roku na rok stawało się co raz gorzej, zwłaszcza od czasów plebiscytowych kiedy to *„kościoły, obrócone do celów agitacyjnych, świeciły pustkami, a gromadkarstwo potęgowało się; to był skutek znamienny wypędzenia mowy, „która przed laty blaskami życia“, a „którą złożyły katy w śmierci powicia“...*

Toteż modlił się lirnik mazurski: „O ojczysta nasza mowo, coś kwitnęła nam przed laty — zakwitajże nam na nowo, jako kwitną w lecie kwiaty“... Albo w innym znów miejscu woła:

Pomóżcie bratowie, stary jak młody,
By ojczystej mowie błysł promień swobody!
Niech zagrzmią na nowo naszej mowy dźwięki
I niech polskie słowo niesie Bogu dzięki
Niech moje utwory dostęp do was mają
Niech chaty i dwory nimi nie wzgardzają“.

Charakterystyczny wiersz Kajki zamieścił „Mazurski Przyjaciel Ludu“ w numerze z listopada 1923 roku. Autor żali się nad dolą ludu polskiego na Mazurach: „wnet nam już koszulę zedrą i ze skóry nas obedrą“ — takie nakładają podatki. Lud woła „co to będzie?“

„I tak słychać zawsze, wszędzie
By te Polaki przybyli
Nas z tej nędzy wyzwolili.
I na Polskę spoglądają,
Aby ich wydobyła z biedy...“

Rozmiłowany w czytaniu książek i czasopism polskich gromadził je Kajka wedle możliwości na strychu, w spichrzu ukrywając przed okiem tropiącej go policji. Syn Kajki twierdzi, że było tej „bibuły“ tak dużo, że kiedy w 1945 roku pierwsi Polacy przybyli do Ogródka rozejrzawszy się po domostwie, w którym stary Michał dziesiątki lat mieszkał, sądzili, że „tu musiała być polska drukarnia“. Wnosząc z resztek spuścizny po Kajce, większość książek pochodziła z Poznania. Były to przeważnie wydawnictwa popularne lub naukowo-popularne, podręczniki szkolne, czytanki i „wypisy“. Działacz i konsul na Mazurach Eugeniusz Zenon Lewandowski ulokował w domostwie Kajki tajną biblioteczkę, liczącą zapewnie 24 tomiki najcelniejszych autorów i poetów polskich. W zimowe wieczory poeta czytywał te książki na głos nie tylko swoim domownikom, ale licznie gromadzącym się w około niego mieszkańcom Ogródka, a także innym z sąsiedzkich wsi przybyłym rodakom.

Młodzież mazurska specjalnie miłowała swego przewodnika duchowego, zapraszała go na zebrania i inne uroczystości związane z tradycjami polskimi ogólno-narodowymi i regionalnymi. W r. 1927 zaszczycił Michał Kajka takie wielkie zebrania w Olsztynie oraz w Pasymiu w pow. szczycieńskim jak i w Małszewie w pow. nidzickim. W czasopiśmie „Życie Młodzieży“ organie młodych bojowników na Mazurach zamieścił Kajka swe wrażenia z tych zjazdów i podziękowanie za zaproszenie i uznanie. *„Byłem zadowolony osobliwie z wygłoszonych ułożonych przeze mnie poematów. I cieszę się, że te proste wiersze znalazły oddźwięk w sercach młodzieży tutejszej. Dziękuję wam za tak mile spędzone godziny i życzę, aby takie towarzystwa rozszerzały się, aby w tak ważnej pracy zawsze naprzód postępowały, aby potem chóry brzmiały dźwiękiem naszej miłej ojczystej mowy... „Czołem“.*

Władze pruskie niechętnym, podejrzliwym wzrokiem spoglądały na tego budowniczego z Ogródka, wzywały go na posterunek „celem wyjaśnień“, dokonywały często niespodziewanych rewizji. W okresie plebiscytowym sfanatyzowani działacze niemieccy zamierzali chałupę „tego Polaka“ zrzucić do jeziora. Bowiem z górą pół wieku siedział Michał Kajka w Ogródku nad samym brzegiem jeziora Wielki Kraksztyn, gdzie sobie pobudował swą zagrodę. Wybuch wojny i tragiczny los Polski przygnębił sędziwego pieśniarza. Zamilkł w okresie wojennym Kiedy Niemcy i renegaci, drwiąc ze starca, naigrywali się z Polski — Kajka zazwyczaj odpowiadał jednym zdaniem: *„Jeszcze wojna nie skończona“...* Nieraz spowiadał się swym najbliższym, że wierzy w wyzwolenie Polski oraz pragnął doczekać tej chwili... *„Nie mogli sobie ojczulek miejsca znaleźć* — zeznała dla Instytutu Mazurskiego synowa — *wyjeżdżali na kole do Orzysza, to znów wracali jakby przed śmiercią uciekając. A kiedy już na kole nie mogli ze słabości, furą zabrali się z domu...“* I tak zjechawszy do Orszyna on, który nigdy nie miał czasu chorować, nagle zasłabł i zgasł cicho, on drobny i nikły ciałem, ale wielki duchem — pieśniarz, budziciel, wieszcz ludu mazurskiego — Michał Kajka z Ogródka.

Dnia 25 września 1940 roku zwieziono zwłoki Michała Kajki do Ogródka, wniesiono na pagórek, na który żadna droga nie prowadzi, „gdzie ziemia ojców prochy ukrywa w swym łonie“... Tam spoczął, na skraju, przy boku wiernej towarzyszki życia, w otoczeniu ośmiu mogiłek przedwcześnie utraconych latorośli.. I oto nad otwartą mogiłą stanął pastor — Niemiec z pobliskiego kościoła w Klusach, w którym przed 82 laty ochrzczono Michała Kajkę, gdzie w księgach metrykalnych figurowały nazwiska pięciu pokoleń jego rodu. Kościół ów poeta mazurski omijał od chwili, kiedy wyrugowano zeń mowę polską. Ten pastor — Niemiec — o ironio losu — uważał za właściwe przemówić do zgromadzonych żałobników w sposób perfidny i budzący odrazę. Powiedział on między innymi w znienawidzonym przez Zmarłego języku niemieckim: ... „Stoimy tu nad trumną jednego z tych, który w życiu działał i wielkimi był wyposażony darami. Lecz on tych darów nie zużytkował na właściwej drodze, on się pozwolił zwieść przez obce elementy i w obcą służbę się wprzągł“...

Fot. M. Wańkowicz

Michał Kajka.

Staraniem Instytutu Mazurskiego, dziś Stacji Naukowej Instytutu Zachodniego spuścizna po Michale Kajce złożona została w Olsztynie dla celów badawczych i dokumentarnych. Jest tej „bibuły“, która ocalała przed argusowym okiem Bund Deutscher Osten i Gestapo — dość dużo. Ogółem rękopisów niedrukowanych drobnych lub niedokończonych jest 149 sztuk w tym przeważnie utwory rymowane treści religijnej i świeckiej. Wśród nich znalazł się też urywek przekładu młodzieńczych poezji Wojciecha Kętrzyńskiego z języka niemieckiego na polski. Ponadto zachował się oryginał listu Marcina Giersza do Kajki, jedno pismo Walentego Hakandta, dwa A. Szajka, jeden Gustawa Leydniga — działaczy mazurskich na tamtejszym terenie.

Z gazet, które były układane i związane rocznikami, przetrwały zdekompletowane roczniki: „Gazety Ludowej“ wydawanej w Ełku od 1897 do 1903 r., „Mazura“, drukowanego w Szczytnie od 1907 do 1939, „Gazety Olsztyńskiej“ zdekompletowanej od 1910 do wybuchu wojny, „Mazurskiego Przyjaciela Ludu“ od 1923—1928 wydawanego w Szczytnie, „Życia Młodzieży“ od 1927 roku, ponadto „Wielkopolanina“ od 1898 do 1903, „Gazety Mazurskiej“ oraz antypolskiego „Pruskiego Przyjaciela Ludu“. Książek ok. 144 egzemplarzy — w tym roczniki „Kalendarza Królewsko-Pruskiego“ i „Kalendarza dla Mazurów“. Co czytał prócz tego Michał Kajka? Jest „Pan Tadeusz“, Psalmy Kochanowskiego, są „Krzyżacy“, „Bartek Zwycięsca“ i w „Pustyni i w Puszczy“ Sienkiewicza, drukowane u Seweryna Pieniężnego w Olsztynie frakturą. Prócz tego znalazł się tomik Słowackiego, Szajnochy, Kraszewskiego, Bełzy, nawet skrót „Iliady“ i „Eneidy“.

Emilia Sukertowa-Biedrawina

Warszawa w malarstwie czeskim

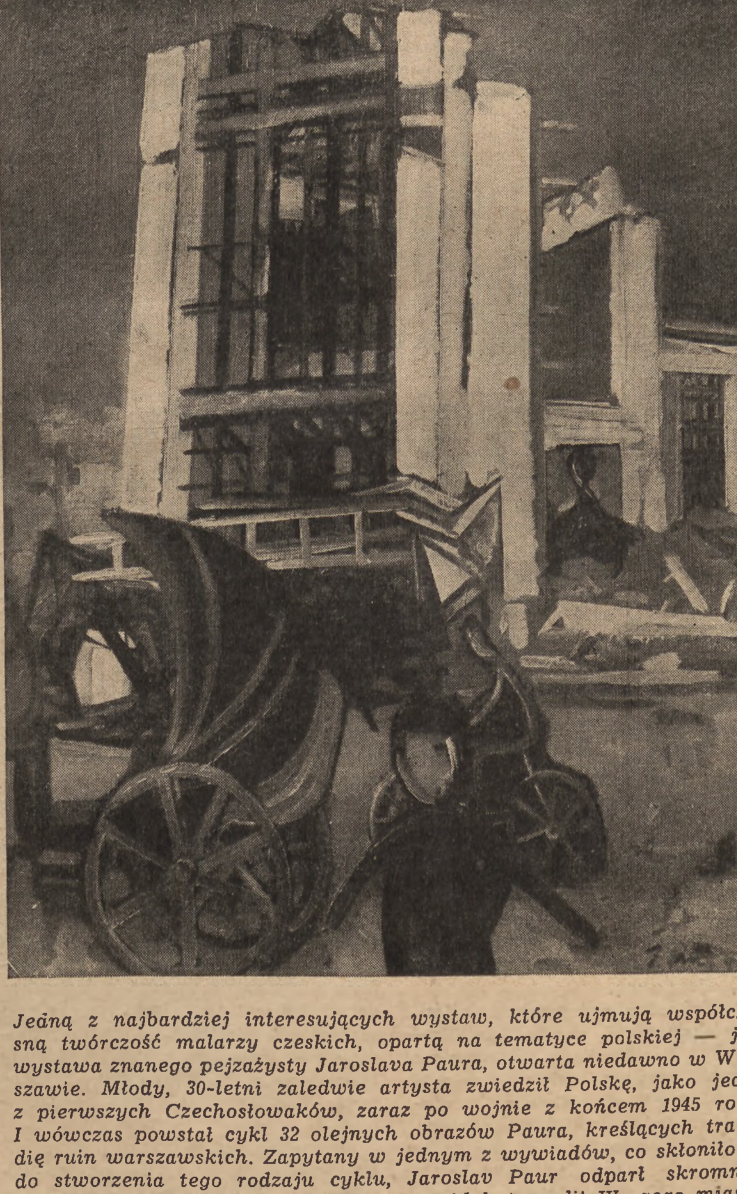

Jedną z najbardziej interesujących wystaw, które ujmują współczesną twórczość malarzy czeskich, opartą na tematyce polskiej — jest wystawa znanego pejzażysty Jaroslava Paura, otwarta niedawno w Warszawie. Młody, 30-letni zaledwie artysta zwiedził Polskę, jako jeden z pierwszych Czechosłowaków, zaraz po wojnie z końcem 1945 roku. I wówczas powstał cykl 32 olejnych obrazów Paura, kreślących tragedię ruin warszawskich. Zapytany w jednym z wywiadów, co skłoniło go do stworzenia tego rodzaju cyklu, Jaroslav Paur odparł skromnie: „Serce, które szamoce się w piersi na widok tragedii Waszego miasta. Rozsądek, który nakazuje wpierw utrwalać rzeczywistość dokumentarną, a potem dopiero piękno polskiej przyrody: dlatego wybrałem ruiny warszawskie.“ Na zdjęciu: Jaroslav Paur: FRAGMENT DWORCA WARSZAWSKIEGO (1946, olej) *(-alk-)*

JAROSŁAW ROGALA

Powrót daru

Rzecz o wiosce, której imię w Rzymie wymawiano

Na sątoku — na ścieku — wód Warty i Noteci od prawieka stał Santok. Sątokiem, współprzepływem tych obu sióstr Odry, oblany był ostrów niewielki, gdzie ostrokolnie szczerzył się gródek. Wyspa wszystkiego 60 m średnicy dziś liczy. Bronność była jednak czołową cechą tego miejsca, toteż wyrósł ten gród na „strażnicę i klucz Królestwa“ Polskiego. Przeciw pogańskim Pomorcom była to twierdza, a znaczenie jej napęczniało do tyłu, że Władysław Odonicz, książę kaliski i wielkopolski, kasztelana tu swego osadził (1230 r.).

Kasztelania santocka, ku Pomorcom podsunięta, w wojnie stałej z Pomorcami pustoszała, przechodziła wiele zniszczeń i łupiestw, a o stałego mieszkańca w odpomorskiej jej stronie było szczególnie trudno. Nieco złagodniały zatargi, gdy i Pomorzan ochrzczono, ale książęta szczecińscy nie ustawali w swych dążeniach aż ich nie zluzowało parcie Brandenburczyków (1250 r.). Wtedy ks. Barnim I pojednał się był z Polską, a w walce swej przeciw klinowi Marchii Nowej starał się wesprzeć o nią. Walka ta trwała poprzez dni chwały i klęski Zakonu Krzyżackiego; Marchii Królestwa Polskiego, aż w podstępach, zdradach i pożodze wojen — w epoce polskiego odwrócenia się ku Wschodowi — urodził się akt sprzedaży Santoka przez Krzyżaków Brandenburczyków (1454 r.). Bezprawny to był fakt, niemniej fakt realny, a Rzeczpospolita aż do rozbioru (z r. 1793) nieustannie protestowała przeciw uzurpacji, zachowując wśród swoich senatorów, choć nominalnego, kasztelana santockiego.

Dziś, kiedy Santok jest tylko wioską w odzyskanej Ziemi Lubuskiej, części tradycyjnej swej Wielkopolski, przypatrzmy się innej wioszczynie, niegdyś granicami kasztelanii santockiej objętej, a przydzielonej obecnym podziałem administracyjnym województwu szczecińskiemu.

Zdarza się wioskom wywiększyć się na stolice, a stolicom maleć do wiosek. Prawda dróg i obrotów spraw władztwa jest kluczem do odcyfrowania przyczyn tych wahań.

Jakkolwiek by było, niewiele musi być wsi, których pisana historia liczyć może ponad 700 lat!

Jedną z nich jest: Korytowo w powiecie choszczeńskim. Oplotło się wkoło niej wiele dynamiki, plątały się sprawy kreślone z wysoka. O korony, o tiarę papieską nawet zatrącała.

Czemu to zawdzięcza, trudno powiedzieć. Faktem jest, że jakaś różdżka przygód tchnęła w to miejsce wir wydarzeń. Łaciński pergamin otworzył jej horyzonty i poprzez niewiarygodne, niewspółmierne do jej wymiaru prowadził ją światła.

„In nomine sanctae Trinitatis et inditividue unitatis“ — zaczyna objawienie swej woli wobec obecnych i przyszłych lektorów pergaminu —

(Dokończenie na stronie 2)

Co robią Niemcy?

Z Tyrolu przybysz — Berlińskie sukcesy erotomana i sadysty — Rozdziały górnośląskie

Od pewnego czasu coraz częściej w doniesieniach prasy niemieckiej i austriackiej pojawia się nazwisko pisarza Arnolta Bronnena. Monachijska „Die Neue Zeitung“ zwracając na to uwagę, podzieliła się z czytelnikami niemieckimi niemiłymi wrażeniami, jakie w niej nazwisko to, pojawiające się na nowo, wywołało. Niezbyt nam życzliwa „Die neue Zeitung“ w tym wypadku stała się naszym sojusznikiem, demaskując pisarza, który rolę swą już wygrał do końca i to jeszcze w okresie przedhitlerowskim, choć na sposób iście hitlerowski. Wprawdzie Arnalt Bronnen wciąż jeszcze próbuje grać swoją rolę jako pisarz, po wojnie osiedlił się w Austrii, gdzie w dyskusji, która wokół jego osoby powstała, powiedziano mu obok kilku gorzkich słów prawdy również i wiele komplementów. Gra, żyje i pisze. Dlatego właśnie warto go raz jeszcze odkryć i zdemaskować.

Niejaki pan Bronner z Tyrolu zmienił nazwisko na Bronnen i w ten sposób przybył literaturze niemieckiej jeszcze jeden „genialny“ pisarz tego ubogiego w talenty regionu. Bronner-Bronnen z medalami wojennymi w klapie — wówczas to około r. 1920 nieliczni tylko mieli odwagę chlubić się swoją niedawną wojowniczością i dzielnością — pojawił się w Berlinie. Poszedł na posadę do biura biletowego Wertheima, co było niewątpliwie bardziej nęcące niż codzienna wędrówka za pożyczkami po kawiarniach berlińskich, której oddawało się wielu pisarzy. Poza tym Bronnen miał w tym czasie w kieszeni egzemplarz napisanego przez siebie dramatu. Panowała wówczas moda na mordowanie ojców na scenie. Były te morderstwa nie wynikiem jakiegoś kompleksu Edypa, lecz wyrazem zemsty za swego rodzaju burżuazyjną zaciekłość, która w rezultacie doprowadziła do wojny światowej. Ojcowie obciążeni byli katastrofą, musieli zatem ginąć, droga służyć miała odtąd synom. Bronnen dramat swój zatytułował prosto i rzeczowo „Mord ojca“. Co prawda przed nim już Hasenclever wyśpiewał taki sam temat lepiej i pełniej. Ale pan Bronner z Tyrolu mógł o tym nie wiedzieć. Jego rzecz zgadzała się z hitleryzmem w jednym: w bezwstydnym naturaliźmie, który demaskował miłośnika krwi, nienawiści, zabójstwa. — Współcześni recenzenci zauważyli to, było to dla nich zaskoczeniem. Jeśli można mówić o sympatii dla problemu, to odnosi się to w pierwszym rzędzie do Bronnena — dramaturga. Rzecz jego zresztą nie ukazałaby się na scenie, gdyby nie młody entuzjasta teatru Moritz Seeler, który rzecz wystawił — można nawet powiedzieć wychuchał na scenie, który o nią walczył wobec zbyt surowych krytyków, który młodemu autorowi torował drogę i dodawał otuchy.

Moritz Seeler to człowiek niezwykle zasłużony dla sceny niemieckiej. On wprowadzał na scenę i dbał o laury dla Brechta i Zuckmayera, nie wiele tylko uznania rezerwując dla siebie. Moritz Seeler wprowadził zatem na scenę Bronnena, w którym dojrzał wielki talent. Tymczasem runął na Niemcy hitleryzm. W odmętach rozfanatyzowanego hitleryzmu ginie Moritz Seeler, zamordowany przez przyjaciół Bronnena. Bronnen sam zaś przystaje już całą duszą do ruchu. Bronnen-erotman i Bronnen-faszysta pasował idealnie do hitleryzmu. Już pierwsza sztuka, tak pieczołowicie wystawiona przez berlińskiego entuzjastę młodych talentów scenicznych, pełna była tej gęstej i ciemnej atmosfery. Bronnen do narodowego socjalizmu poszedł z nieokiełzanych popędów seksualnych, powiadają o nim dzisiaj niemieccy znawcy jego twórczości, i twierdzenie to wydaje mi się nadzwyczaj trafne, godne zastosowania jeszcze w niejednym wypadku z historii literatury niemieckiej ostatnich trzydziestu lat. Wiemy, że te same pobudki dały hitleryzmowi dwóch innych poetów: Horsta Wessela i Dietricha Eckerta. Bronnena „Mord ojca“ stanowi dla widza dokładny przekrój całej jego psychopatia sexualis. Filozoficznych elemnetów darmo byśmy szukali w dziele Bronnena, tak przez niektórych cenionym, najwyżej znaleźlibyśmy pogańsko-romantyczną atmosferę (w gruncie rzeczy anarchistyczny noszącą charakter) tzw. związkowej młodzieży czy młodzieży spod znaku starych i młodych Wandervögel. Nie było jednak ciężko w Niemczech tym, którzy chcieli przygotować młodzież do trudnej i bezmyślnej egzercyrki. Od bezgranicznej anarchii popędów — mówi Platon — prosta wiedzie droga do niewoli. Bronnen poszedł tą drogą. Zamiast stać się pisarzem z prawdziwego zdarzenia — czego się po nim wówczas na początku spodziewano — został skrybą nazizmu.

Służył mu zresztą od samego początku. W dramacie od „Mordu“ po ostatnie sztuki i w powieści. Tu zaś demaskujemy Bronnena jako piewcę nienawiści, zwłaszcza antypolskiej. Upodobał sobie Górny Śląsk i losy jego człowieka. Oczywiście zależało mu na tym, żeby losy te przedstawić od strony szowinistycznego interesu niemieckiego. Ale pisząc swoją powieść paszkwilancką „O/S“, która spotkała się nawet ze zbiorowym protestem pisarzy polskich na łamach „Wiadomości literackich“, zamierzał dać więcej niż próbkę „losu górnośląskiego“, zamierzał w tej historii górnośląskiej jak w soczewce zmieścić tragedię całych Niemiec. Sam o tym mówi i słowa te w tej chwili, jako najbardziej demaskujące Bronnena-hitlerowca, trzeba powtórzyć: „...więcej prawie zależało autorowi na tym, by przedstawić rozwój tych Niemców, którzy w losie pokrajanej prowincji granicznej widzą i rozumieją los wielkiego państwa, które stacza się w odmęty straszliwego kryzysu, rozsadzane przez choroby demokracji, materializmu oraz duchowej i rasowej anarchii.“ Powieść „O/S“, dziejącą się przeważnie w Bytomiu, była zatem w zamierzeniach autora sądem nad całą współczesnością niemiecką a równocześnie pieśnią na cześć obudzonego ducha narodowego, męstwa bojownika Freikorpsu, który historycznie dłoń podaje pierwszym bojownikom SA i SS. Tak to zapamiętała krytyka, tak powieść tę wielokrotnie komentował w wywiadach prasowych i w innych wypowiedziach na temat własny sam Arnolt Bronnen alias Bronner z Tyrolu. Prócz tego nienawiść swoją parcelował jeszcze między inne powieści, a więc przede wszystkim między „Rossbacha“, pamiętnik o osławionym kondotierze niemieckim, który brał także udział w powstaniach śląskich po stronie niemieckiej, i „Im Osten Feuer“, jeszcze jedną zajadłą kronikę nienawiści, podłości i zbrodni. Największy rozgłos uzyskała jednak „O/S“, odznaczająca się filmowym tempem i niewątpliwymi wartościami formalnymi. W Niemczech budziła szowinizm do straszliwego skoku, stawała się nieodstępną bronią hitleryzmu na wschodnich terenach Niemiec.

Dziś Arnolt Bronnen, pogodny Austriak, odzywa się, pisze. Gdyby przegląd ten mógł być listem gończym, może by doścignął Bronnena, bo on sam nie czyni tajemnicy z miejsca swego pobytu, odpowiada na zaczepki, których nie szczędzą mu niektórzy ustriaccy reemigranci. Ale niniejszy przegląd nie ma tej mocy, może on natomiast przypomnieć czytelnikowi polskiemu postać najbardziej odrażającą na terenie literatury niemieckiej ostatnich trzydziestu lat. Pamiętając, że tacy ludzie żyją nadal, piszą i zajmują pewne miejsce w hierarchii kulturalnej, nie będziemy skłonni do różnych nagłych zachwytów nad tym lub innym zwycięstwem haseł demokratycznych w niemieckim czy austriackim społeczeństwie.

WISZ

JAN PIERZCHAŁA

Koleją na zachód

Najlepiej jechać w nocy.
Omija się zwykłe rzeczy.
Trochę myśli i nic dokoła.

Kto jeszcze jako tako znosi
podróże, nie śpi i słucha
co w kołach.

Trzeba się znać na takich
miarowych stukach.
Tam się słucha a tu o nocy.

Wrażliwszego może nawet
omamić, albo zamroczyć:
uderzy nocą o szyby
i ogniem jak wiechą w oczy.

Rękami się to potem zgarnia
i kruszy.
Więcej nie zdarzy się oczom.
Na siedemdziesiątym kilometrze
Z WROCŁAWIA JEST WAŁBRZYCH.

Powrót daru

(Dokończenie ze strony 1)

nadanego w Gnieźnie roku łaski 1237 dnia 23 maja — „Vladislaus“, z łaski Bożej książę Polski, syn takiegoż księcia Odona, za zgodą synów swoich, Przemysła i Bolesława, nadający dziedzictwo swoje, „Choritowo“ pospolicie zwane, Domowi Szpitalnemu Świętego Jana Chrzciciela z wszelkimi jego pożytkami w pokojowe i wieczne posiadanie...

Potem następuje opisanie granic, rozpostartych między jeziorami: Objezierze, Przekolno, Somite, z oparciem o strugi, jak Ina z Sowinicą, Drawa z Drawicą i lasy Stary oraz Smolny.

Zezwala się rzeczonym Kawalerom z Malty osiedlić tam „Teutonów“ i darować im „prawo teutońskie“ oraz założyć targowisko. Dar ten, polski i książęcy, żadnym praw wykręcaniem nie miał być nigdy odmieniony, a na wierność jego podpisali się świadkowie. Któż to byli? Naprzód duchowni: Bozon, proboszcz i Baldwin, dziekan, być może właśnie owi obdarowani Joannici, dwaj kanonicy z Gniezna: Mutin i Tomasz, a potem niewątpliwi Polacy: Konrad, kasztelan poznański, rycerz Tomisław syn Dobrogosta, Eustachy syn Gosława, Tolisław syn Miłosty — wszystko spisane ręką pisarza nazwiskiem Starzyk i umocnione pieczęcią własną księcia Darującego.

Cel: z ziemskim wyrazem pobożności chrystusowej swoje dziedzictwo choć w części podzielić, a ziemię pustującą ożywić...

Odtąd ściągnęli do gródka nad Korytowskim jeziorem egzotyczni rycerze, 50 lat temu przez Turków wygnani z Jeruzalem, bojownicy fanatyczni, wytrwali, walczący o Grób Chrystusowy z dalszych swoich wyspiarskich siedzib: Rodos i Malty.

W bojach okrywali się płaszczami z krwawej czerwieni, które na piersi i plecach znaczył zwykły krzyż, w pokoju zaś płaszcze mieli długie i czarne z białym, ośmioramiennym krzyżem wspaniałości maltańskiej.

Krzyżowcy, szpitalnicy rycerscy, opiekunowie pielgrzymów przybywali do kraju, gdzie zaufanie panującego przyjmowało ich po niedoli złych wojen. Nie byli tu ze swoich pierwsi. Już jedną Komandorię mieli z łaski księcia pomorskiego w Ziemi Stargardzkiej: blisko, prawie w sąsiedztwie. Przyjmował ich Odonicz jako gości dobrych, podobnie jak Konrad Mazowiecki rycerzy N. Panny Marii. Któż mógł znać losy przyszłości? Któż mógł podejrzewać rycerzy, co o Grób Święty życiem mieczów błyskali?

Przybywali przez bezdroża, bór, bagna.

Jeszcze niewiele ponad sto lat temu — a czas wtedy stępa chadzał — drogę od rzeczki Drawy do Pyrzyc świętobliwy Otto, biskup z Bamberga, określał jako „najgorszą i najstraszniejszą ze wszystkiej drogi“ swojej. Przebijano się wtedy przez ciemne puszcze, pogorzeliska wiecznych wojen pogranicza, gdzie dniami całymi nie spotkasz osiedla.

I do czegóż przyszli?

Jeżeli dziś, po więcej niż 700 latach, stanąć na krągłym wzniesieniu, gdzie był polski gródek przedjoannicki — ogarnia szczery podziw. Jakże obronne jest to miejsce! Jak rozważnie wybrane. Znać, że Słowiańszczyzna była krajem sztuki budowania grodów. Z trzech stron prawie omywa półwysep Korytowskie jezioro, a z lądu była tylko droga poprzez bagna. Częstokół stał wonczas miast obecnego kręgu starych lip. Chyba tego ze 40 m średnicy. Jeżył się samobronny gródek, stołpami (wieżami) wspięty nad każdą napaść. Tu była silna, trwała, z ziemi wyrosła Polska. Gord — później gród — znaczyło miejsce obronne, ogrodzone. Za Mieszka I wynaleziony był nawet nowy, własny sposób grodzenia. Mieszko, jakby Vaubau swojej epoki i swego kraju.

W nastrój stały, jak drzew wzrastanie, w stary, nietknięty nastrój Polaków, wonczas wjechali konni, czarnymi płaszczami pokoju okryci, ludzie nowi, Niemcy-rycerze, „Teutonów“ — osiedleńców wiodący. Odeszła poważnie załoga książęca — zapewne wszyscy tutejsi odeszli — o ich „darowaniu“ bowiem ani słowa — i zaczęła się nowa era, jak zobaczymy, zmienna, jak zobaczymy, znamienna.

Z koliska prasłowiańskiego ludzie Joannitów wyrywali razowiec polnego kamienia, wrosłego w stopy częstokołu, nanieśli tego jeszcze z okolicznych pól, sprowadzono kunsztowność cegły i zaczęto wznosić kościół.

Stoi do dziś, jak wyraz tamtego przełomu, ku górze rosnący z ziemi, przemieszany, zwłaszcza w wieży, z kamienia roddzimego i z niemieckiej, ciemnej cegły. Podobnie było z ludźmi: jak cegły, rzeczywiście „Teutoni“ mieszali się z poddanymi z Meklenburgii, niewolnymi z podbitych już poprzednio, autochtonicznych Połabian i z Pomorcami, sprowadzonymi spod Stargardu. Budowla ta ostała się do dziś, jako obraz architektoniczny przemian etnicznych. Dalsze wieki niosły na tę ziemię coraz więcej cegły, wznoszono świątynie czysto czerwone, a im dalej od miasta, bliżej ku wsiom pomorskim, tym ta kamienna autochtoniczność obsady świątyń jest powszechniejsza, docna jak z ludem tych stron.

Zamczysko maltańskie wyrosło obok kościoła, wszystko opasał mur, kamienny, surowy, też do dziś w smugach porwanych trwający. Konie wyszły w pole, zapewne rozszerzono uprawy. Korytowszczyzna stawała się cenniejszą od żniw do żniw. Zapewne wkoło rynku Korytowa wyrosłaby ludna mieścina, zapewne w wolnościach wspaniałomyślnych Królestwa Polskiego tu wywiązałby się ośrodek przyszłego powiatu tych stron, lecz nagle...

Była to chwila, kiedy cesarstwo niemieckie — pośród wojen Hohenstaufów — zdawało się już spostrzec, że „przeznaczeniem“ jego nie jest Południe słodkiej Italii, lecz surowy Wschód. Północni zaborcy, Henryk Lew i Albrecht Niedźwiedź, byli drogowskazami tych szlaków chciwości (XII wiek). Abstrakcyjny urok Rzymu, tak silny dla barbarzyńskich Germanów, miał właśnie ustąpić przed realną możliwością zdobyczy. Macki wszystkich Marchii, wczepionych w ziemie słowiańskie, wyciągały się coraz bardziej, Łabę ogarnąwszy, ku Odrze podpełzłszy, teraz za Odrę już sięgać zaczynały. Wszystkie czarcie chwyty ukrywano pod pobożnymi płaszczami, a oprócz tego działano też jawnym zaborem. Nie od Joannitów wyszły jednak zawody ufności. I oto powstał wir.

Naprzód wkoło Korytowszczyzny rozsunęły się wrogie poczynania, niedawno duńskiego jeszcze, klasztoru w Kolbaczu. Opat Cystersów wypaczył się we wroga Joannitów.

Równocześnie ks. Barnim I, Dobrym zwany, stale rościł sobie pretensje do ziemi santockiej i działał ku temu przez niemieckich rycerzy, przyjętych w jego służby. Byli to, posadzeni na nazwach słowiańskich wsi: Jan z Lubanowa, Teodoryk z Pniewa, holsztyńscy von Wedell i drudzy. Niebaczny ten władca pierwszy na Pomorze Niemców zwoływał (r. 1235). Stąd obecna Aleja Piastów w Szczecinie za Niemców zwała się „Barnimstrasse“, stąd go Dobrym zwali.

Wreszcie margraf Konrad z Braniboru (co Brandenburgiem został po ostatecznym jego opanowaniu, XII wiek), żonaty z Piastówną Konstancją, w posagu za nią część kasztelanii santockiej otrzymawszy, wystąpił z roszczeniem o całość, o pełnię ziem kasztelanii, mimo że „dobre prawo“ miał do ułamku tylko.

Bronili się Joannici. Zabór niemieckich rycerzy Barnima wygnał ich z Korytowa. Zanieśli skargę do samego papieża.

Roztropny Klemens IV wysłał arbitra na miejsce sporu. Doczekało się wtedy ciche Korytowo nielada gościa. Był nim Albertus Magnus, chluba uczonych swego czasu, profesor teologii z Kolonii i Paryża, Dominikanin, potem regensburski biskup, kiedyś w końcu życia jeszcze Krzyżowiec. Iście podziwiaćby można dynamikę tego starca. W wieku lat 76 z Kolonii nad Renem do... Korytowa.

Joannici mieli najstarsze i najlepsze ze wszystkich prawa. Łaciński dokument ks. Władysława Odonicza przesądził sprawę. Arbiter papieski nakazał zwrot zagrabionego i restytucję krzywd. Teutońscy rycerze, faworyci Barnima, dla Niemców Dobrego — zwlekali. Mocodawca Klemensa IV autorytetem apostolskim wygnał winnych z Kościoła (r. 1269). Była to jedna z najcięższych kar: wykluczenie ze społeczności chrześcijańskiej.

Nie pomogło: Albertus odjechał — rycerze Barnima dóbr nie zwrócili. Rycerze św. Jana, którzy rozpowszechniali bullę, zostali schwytani i wtrąceni do więzień. Joannici powtórnie zaalarmowali Rzym.

Raz drugi (r. 1270) sędziwy biskup wybrał się z nad szerokiego Renu ku polom nad wąskie brzegi Iny, wschodniego dopływu Odry. Nie ustąpili zjednoczeni wrogowie Zakonu Maltańskiego. Rzucony został aż interdykt. Na księcia pomorskiego, na jego rycerzy, na wszystkich tych winowajców rodziny, nawet opat kolbacki objęty został tą druzgocącą karą. Żadnych pociech Kościoła, żadnych sakramentów. Pełne wykluczenie ze społeczności ludzkiej — śmierć społeczna.

Biskup odjechał, by odczekać skutków swego gromu.

W pomroce średniowiecza zagubiło się, czy wyklęci pełnię dobrej woli okazali. Raczej nie wiele. Bo czyż sumy pokutne mają być wystarczającym zadośćuczynieniem? Fakty następne wskazują raczej na zmianę sztyletów w intrydze. Wtargnął czynnik nowy: margraf brandenburski, niegodny mąż Piastówny, prawa wiana nadużywający.

Pod bokiem Korytowa już rok przedtem zagarnął on Choszczno i tam, nad jeziorem, założył Arnswalde. Teraz z siły tego bezpośredniego sąsiedztwa wyrosły dalsze fakty. Margraf opanował Korytowszczyznę, a na niej najbardziej niespodziewanie objawia się, jako lennik, niedawny faworyt Barnima, rycerz niemiecki: v. Wedell. Toż jawny przeniewierca!

Wyklęty ten ród odtąd zakorzenił się na zamku wymanewrowanych Joannitów. Tym dano potem, znowu z granic Wielkopolski (dziś Ziemia Lubuska), wśród ślicznych jezior położony Łagów z wieloma wioskami oraz Sulęcin nad strumykiem Postromią. Na Korytowie Maltańczycy zachowali jedynie prawa duchowne, utrzymując tu proboszcza, naczelnego pasterza całej okolicy, do której wchodził też patronat nad Farą w Arnswalde (Choszczno).

Tak upadło przeznaczenie stołeczne Korytowa. W powiecie zamiast niego brandenburskie Arnswalde, które staje się niemiecką kluczową pozycją w drodze na Wschód. Wisi już wtedy u północy tych ziem rozpierające się Państwo Krzyżackie. Ku niemu to, jak ku urzekającej przynęcie, wyciągają się macki połączeń od tamtych czasów aż po ultimatum autostrady Hitlera.

Przelewają się przez Korytowo rody rycerskie, które wiodły poprzez wieki ofensywę Brandenburgii ku Królestwu Pruskiemu, Cesarstwu Niemieckiemu i zbrodniczej III Rzeszy, rody, co od wyklęcia swych metod rozpoczęły napaść na tę ziemię. Po v. Wedellach, nastali von der Goltze, inni mniej znani, znowu przebłysnął jeden v. Wedell, wreszcie od r. 1834 ustalili się v. Schlieffenowie.

Przetoczyły się nad wsią, ozdobą zamku podniesioną, a upadłą w błyskach fałszu i zdrady — koleje dni pochmurnych historii. Ludność, niegdyś z Pomorców i sprowadzanych Połabian, pomieszała się ze stale przybywającymi prawdziwymi „Teutonami“, przesuwała się, znikała i narastała znowu z żywotności ludzkiej, tym prężniejszej po wszystkich klęskach. W nazwie „cygańskiego wzgórka“ przechowała się tylko pamięć po Wendach, wtrąconych w biedę ludzi prawie wędrownych.

Przewalił się tędy niszczący zagon litewski w r. 1326/27, najazd husytów (r. 1400), wojna 30-letnia, zarazy, pomór. Za każdym razem pola okoliczne, woda jeziora, młyn i pasieki borów przyciągały i zwyciężało się pustkę. Tak jeszcze raz stało się za wielkich przemian roku 1945.

Wowym to roku, wieżą kościółka zwabiony, zawadziłem o to miejsce, nieświadome własnej chwały i znamienności. W śmieciach wtedy, mokrą od deszczu, podniosłem wówczas nikłą broszurkę, spisaną przez miejscowego pastora na historyczne 700-lecie jego wioski. Plótł tam o pragermańskich „Burgundach“, których z tych ziem w niedokopanej pomroce przedprawiecznej wyparli... najeźdźcy — Słowianie. Cieszył się pastor Hans-Georg Furian, że Joannici przed siedmiu wiekami rozpoczęli tu germanizację. Tym lepiej, pastorze, hitleryzm także sławiący! Nawet tyle lat konsekwentnego dzieła nie zdołało uwiecznić germanizacji. Przepadła, burzą dziejową wielkiej słowiańskiej ofensywy zmieciona. Nie ma jej.

Wprawdzie germanizację nie od Joannitów można by liczyć, lecz raczej od v. Wedella, wprawdzie „Teutoni“ rycerzy św. Jana byli w dużej mierze, poddanymi Teutonom, Połabianami i Pomorcami, wprawdzie w księgach parafialnych przechowali się, żyjący już potem jako Niemcy, niewątpliwie słowiańscy: Tetzlaffowie (Czesławowie), Zielonowie (Sellnow), Raczkowie, Drahimowie czy Wolk (Wilk), a lista poległych Korytowian wykazuje Daniela Lipkę (r. 1759), później tychże Zielonów i Czesławów, a w wojnie światowej upamiętnia się Nienasz (Nienass), Szubiak (Schubiak), Szpyrka (Sparke), Rak (Raak) czy Śpiewak (Spiewack) — przecież zaślepiony pastor, nieuchronnej przyszłości nie przeczuwający, upaja się w posłowiu broszurki zjednoczeniem Niemiec pod Hitllerem i bluźnierczo cieszy się z 700-lecia „błogosławieństwa“ ich dziełu.

Daremnie drukował swą radość.

Dziś pracownik folwarczny otwiera nam starym kluczem drzwi kościoła, w którego mury cegłę nową do prakamienia mieszano. Spirydowicz! — wołali go współwilniuki. W zewangielizowanej pustce kościoła niegdyś Kawalerów z Malty stoi potem razem z nami. Miejsce jest to samo, gdzie stawali ci słowiańscy wieśniacy, których jako rzekomych „Teutonów“ wiedli tu Joannici o długich, czarnych płaszczach z białym, bogatym krzyżem. Miejsce odzyskała oto stopa Polaka, sprowadzonego z diametralnie przeciwnego końca. Joannici mieli swoje prawa, pochodne od naturalnego pana tych ziem, księcia wielkopolskiego, Odonicza — Spirydowicz ma swoje, niegorsze: prawo polskości, prawo niezatartych kasztelańskich granic. Zespół Państwowych Nieruchomości Ziemskich parafrazuje dziś istotę posiadania tego klucza. Odoniczowe prawa, przełamane przez wyklętych rycerzy, jak v. Wedell, oto restytuowano naprawdę. Rzeczpospolita współczesnego porządku oto przejęła prawa Rzeczpospolitej Koronowanej. Nie trzeba tu ani aktu łacińskiego z Gniezna, ani interdyktu sprawiedliwego Magnusa biskupa — ziemię odzyskano wojną! Krąg lip na kolisku grodziska szumi nam spokojem odebrania niezaprzeczalnie własnej ziemi. Nie trzeba nawet kopać — polskość tu jest znowu na powierzchni. Spirydowicz — prabrat Czesławów, Szubiaków, Lipki czy Raka — oto żywa kontynuacja. Na nową, powojenną pustkę, na odłóg, makami i chabrami pokryty, weszły konie, sprowadzone ze Skandynawii, by worać nasz powrót.

Z żniw na żniwa ludnieć i odzyskiwać siebie winno to miejsce. Starto tych, którzy nadużywali niegdyś pobożnej ufności książąt słowiańskich. Dar sprzeniewierzył brandenburski podstęp, a teraz odbito go siłą. Szkoda może, że tym, w błędzie otumanień germańskich, Śpiewakom, Szpyrkom, Zielonom, zbiegłym w zimie Ofensywy Styczniowej, nie udało się choć dzieci posłać do polskiej szkoły, aby poznali prapolskie znaczenie swoich prostych imion. Ci stali się ofiarami wieków nacisku — ziemia bowiem daje się łatwiej przywracać niż zbałamuceni ludzie.

Na sątoku myśli przeszłości i przyszłości, jak kasztelanię jaką, wyoruje się dumną radość utrwalania.

Właśnie opadają złote serca lipowych liści, na ziemię, której nowi ludzie mają odchuchać stare kochanie. Ma się ku zimie, jak przed wiekami, za Odonicza, jak za wieków zaboru, choć nastała raz jeszcze era nowa.

Jarosław Rogala

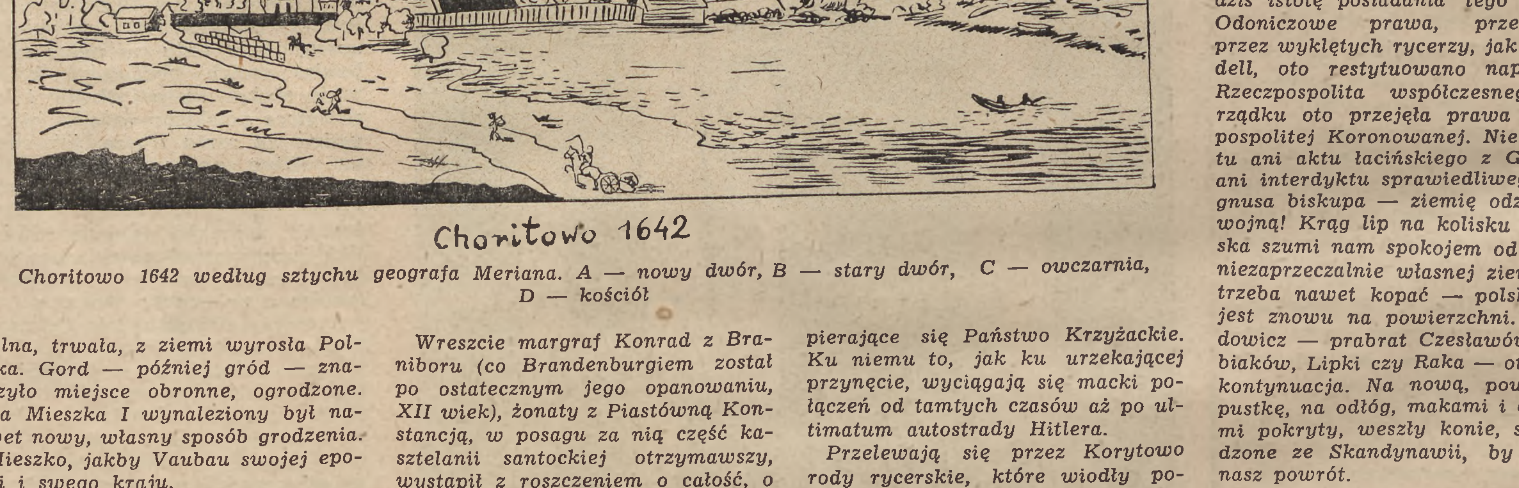

Choritowo 1642 według sztychu geografa Meriana. A — nowy dwór, B — stary dwór, C — owczarnia, D — kościół

Rozmowa z Czechem
o morzu i o Szczecinie

O Czechosłowacji opowiada interesujące rzeczy czechosłowacki delegat największej firmy państwowej, zajmującej się transportem i handlem zagranicznym. Firma nazywa się „Intrasped“ i zasięgiem swych placówek oraz działań obejmuje na zachodzie Niemcy, Anglię i Francję, na południu Jugosławię i Bułgarię, na północy Polskę i Szwecję. Już ta wielokierunkowość i wieloprzestrzenność handlowa mówi nam wyraźnie, że rozmawiamy z delegatem kraju niezwykle przedsiębiorczego, o dużych zdolnościach organizacyjnych i handlowych. Czechosłowacja, ta dziwna wyspa lądowa, potrafiła dotrzeć do mórz uzyskując już przed wojną własne nabrzeża portowe m. in. w Hamburgu, Rotterdamie i... Szczecinie. Ta ostatnia wiadomość interesuje nas najbardziej. Zmieniona sytuacja powojenna, wyrażająca się, jak wiadomo, pięcioletnim układem współpracy gospodarczej między Polską a Czechosłowacją wciąga w orbitę problemów gospodarczych także Szczecin. Przy słowie „Szczecin“ delegat „Intraspedu“ ożywia się. Zwiedził już Śląsk Górny i Dolny, był we wszystkich portach nadmorskich na Pomorzu Zachodnim. Teraz przybył do Szczecina, aby po zapoznaniu się ze sytuacją gosopodarczą, przede wszystkim naturalnie portową, udać się do Szwecji. Trasa bowiem Czechosłowacja — Śląsk — Pomorze Zachodnie — Szwecja jest głównym ośrodkiem zainteresowania „Intraspedu“. Mówiąc o Szczecinie wyciąga mapę. Pochylamy się nad nią i odbywamy błyskawiczną podróż. Oto Czechosłowacja, a tu Pomorze Zachodnie, z centralnym punktem: Szczecinem. Z mapy widać wyraźnie. Szczecin leży o 160 km bliżej od najważniejszych czeskich ośrodków eksportowych aniżeli Gdańsk czy Gdynia. 160 km skrócenia transportu kolejowego to poważny czynnik w kalkulacji towarowej. A teraz drugi moment kalkulacyjny. Czech wskazuje na odległość Szczecina od Trelleborga i miasta Ystad w Szwecji. I znowu jest to odległość bliższa od nas tu, w Szczecinie, aniżeli z Gdańska czy Gdyni do Szwecji. A zatem i na trasie morskiej oszczędza się prawie połowę. Ale nie na tym koniec. Proszę tylko pilnie patrzeć na mapę. Tu Odra, a tu niżej Dunaj. Czy to zestawienie nic wam nie mówi? Zastanówmy się tylko. Jeśli te dwie rzeki zwiąże kanał, to będzie to najkrótsza i najtańsza droga pomiędzy obu krajami, a w przedłużeniu i ze Szwecją. Sprawa ta ma więc kapitalne znaczenie dla obu krajów.

Czesi są narodem praktycznym i konsekwentnym. Skoro kanał Odra — Dunaj ma tak wielkie, podstawowe znaczenie dla współpracy obu krajów, Czesi nie odkładają go w sferę fantazji. Czechosłowacki Urząd Wodny nie tylko opracował pod względem technicznym projekt tego kanału, ale przystąpił już do wytyczania trasy w terenie po stronie czeskiej. Pochylamy się jeszcze raz nad mapą i przebiegamy drogę od Dziewina nad Dunajem aż po czeską granicę koło Bogumina, a stamtąd do Koźla po stronie polskiej. Po stronie polskiej kanał ten wynosić będzie tylko około 30 km. Jego budowę przewidziano właśnie w układzie gospodarczym obu krajów. Tak, *kanał Dunaj — Odra to nie tylko romantyczna wstęga wód, — to trasa przeznaczenia gospodarczego Czechosłowacji i Polski.*

Znów wracamy do Szczecina. Zapytuję, jakie plany ma „Intrasped“ w stosunku do Szczecina. Okazuje się, że bardzo duże. W związku mianowicie z gospodarczą umową obu krajów „Intrasped“ przewiduje w porcie szczecińskim inwestycje w wysokości 40 milionów dolarów. Odpowiednie firmy czeskie przeznaczają te inwestycje na odremontowanie, lub wybudowanie odpowiednich urządzeń przeładunkowych i pomieszczeń na składy towarowe w nabrzeżu portowym, który przydzielono Czechom w Szczecinie. Firma zamierza importować poprzez Szczecin rudę żelazną ze Szwecji, z innych zaś krajów wszelkiego rodzaju drobnice, nawozy sztuczne, kawę, ryż itp. Eksportować zaś będzie Czechosłowacja wyroby ciężkiego przemysłu, głównie hutniczego i chemicznego.

„Intrasped“ zamierza przesunąć swój tranzyt, idący obecnie przez Rotterdam i Hamburg, na Szczecin, aby uniezależnić się od portów niemieckich. Przeszkodą w tej sprawie jest tylko zbyt wysoka kolejowa taryfa polska w stosunku do tańszej niemieckiej, idącej drogą wodną. Zagadnienia te jednak nie są zbyt trudne do rozwiązania, szczególnie na przyszłość, w związku z projektowanym kanałem wodnym Dunaj — Odra. Miejmy więc nadzieję, że problemy te zostaną szczęśliwie rozwiązane, a wówczas Szczecin zabierze lwią część zarobku portom niemieckim.

Już dziś Szczecin wysuwa się coraz bardziej na jedno z pierwszych miejsc w polskim handlu i tranzycie międzynarodowym. Wystarczy przytoczyć chociażby dane z lipca br. Otóż w miesiącu tym weszło do portu naszego 261 statków. Towarów przewieziono około 60 tysięcy ton. Pasażerów prawie 5 tysięcy. Dominuje jednak, podobnie jak w ubiegłych miesiącach, flaga szwedzka.

Należy podkreślić, że zainteresowania „Intraspedu“ Szczecinem nie są pierwszym tego rodzaju krokiem ze strony czeskiej. Już bowiem we wrześniu ubiegłego roku skierowano pierwsze transporty towarów czeskich do Szczecina, w bieżącym zaś roku kilkakrotnie interesowały się Szczecinem różne firmy czeskie. Niedawno, bo w czerwcu br. zwiedziła nasze miasto wycieczka przedstawicieli czeskiego ministerstwa komunikacji i przemysłu oraz kierownicy różnych zakładów przemysłowych, interesując się żywo sprawą usprawnienia i przyśpieszenia handlu czesko-polskiego.

Ale zainteresowania Czechów Szczecinem i Pomorzem Zachodnim nie ogranicza się tylko do spraw handlowych. Czesi przykładają też dużą wagę do spraw jachtingu szczecińskiego oraz do zagadnień uzdrowiskowych. Czesi bowiem posiadają tylko jachting rzeczny, chcieliby zaś uprawiać także pełnomorski. W związku z tym Jachtkluby praski i berneński zawarły już umowę z naszymi placówkami w Szczecinie o zorganizowanie w przyszłym roku morskich kursów jachtingowych w Szczecinie.

Jeśli chodzi o zagadnienie uzdrowisk, to sprawa jest również na dobrej drodze. Czesi wyjeżdżali dotychczas nad morze do Jugosławii, głównie do Kupary. Jest to jednak trasa bardzo długa i uciążliwa, podróż bowiem trwa prawie trzy dni, gdy tymczasem droga nad Bałtyk jest znacznie ktorsza i trwa 18 godzin bezpośrednim pociągiem pośpiesznym.

Stanisław Telega

Wydawnictwo Związku Zawodowego Literatów Polskich
Oddział w Katowicach

»ARKUSZ ŚLĄSKI«

1. Jan Baranowicz: Wiersze
1. Aleksander Widera: Wiersze
3. Aleksander Baumgardten: Wiersze
4. Edmund Osmańczyk: Hans Schneider
5. Władysława Szkaradkówna: Wiersze
6. Zdzisław Hierowski: Odbudowa kulturalna Ziem Odzyskanych
7. Wilhelm Szewczyk: Wiersze
8. Wojciech Żukrowski: Wiersze
9. Janina Zabierzewska: Wiersze
10. Jan Pierzchała: Wiersze
11. Józef Prutkowski: Wiersze

Zbiór „Arkuszy Śląskich“ stanowi doskonałą antologię literatury śląskiej.

Do nabycia w lokalu Śląskiego Oddziału ZZLP. w Katowicach, ul. 3 Maja 36a

ST. A. MICHAŁOWSKI

Rys. Witold Ciechanowicz

Znajoma z Burgweide

Słońce prażyło niemiłosiernie. Zbliżanie się do miejsca, gdzie stały kotły z zupą, miało tak powolne tempo, że prawie niedostrzeżenie mijaliśmy liczne zakręty odrutowanego labiryntu, który okrążał obszerny plac. Posuwaliśmy się czwórkami, trzymając w ręku zakurzone miski, mające się napełnić wreszcie brunatną cieczą, zarejestrowaną tego dnia w kuchennej kancelarii obozu pod mianem „grochówki".

Mimo bezwietrznego dnia, tumany dławiącego pyłu wisiały nad ciżbą ludzką, gdyż poruszające się w powolnym, lecz nieustannym ruchu stopy, powodowały wzbijanie się kurzu. Niecierpliwe, ostrzegawcze okrzyki: „Nie kurzyć! Podnosić wyżej nogi!" — nie wiele pomagały. Spieczona suszą ziemia, tłamszona tysiącami nóg, dymiła ciężkim, białym tumanem, jak ofiarny trybularz.

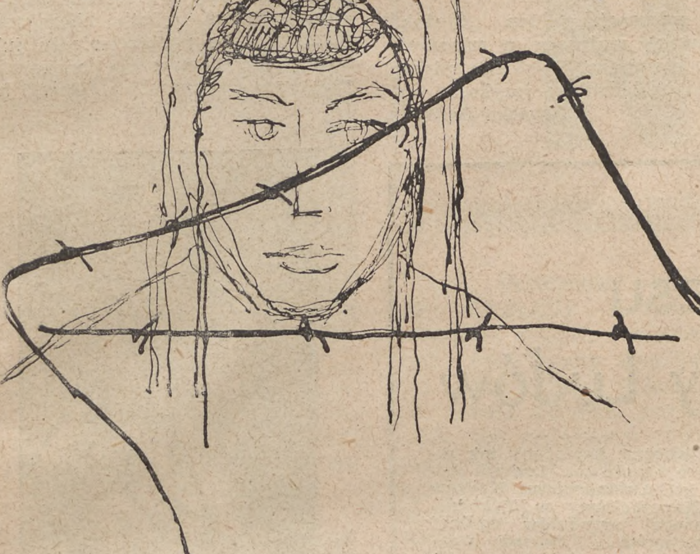

„Durchgangslager Burgweide" dyszał z wysiłkiem, spowity w południową, znojną ciszę.

Z dala dochodziły odgłosy normalnego, codziennego życia ludzi, których sprawy nie zazębiały się o bytowanie obozowej enklawy. Szosą ciągnął wielki, ciężarowy wóz wyładowany antałkami piwa, gromadka schludnie ubranych dzieci powracała z jakiejś podmiejskiej wycieczki, niemieccy kolejarze jechali na rowerach, rozmawiając głośno o swych powszednich sprawach i nie zwracając nawet uwagi na stłoczonych za drutami ludzi. Z pobliskiego terenu cukrowni słychać było gwizdki manewrującego parowozu i brzęk zderzaków towarowych wagonów, które popychane przez lokomotywę, toczyły się bezmyślnie przed siebie, aby wreszcie uderzyć w inne wagony i toczyć się z nimi dalej, do jakiegoś tajemniczego punktu, gdzie zatrzymywały się i zastygały w bezruchu.

Nad linią widnokręgu falowało rozgrzane powietrze, wskutek czego zarysy niedalekiego Wrocławia, jego dymiące kominy fabryczne i strzeliste wieżyce świątyń z dachami o barwie malachitu, migotały jak złudne obrazy fatamorgany.

Tego dnia po raz pierwszy ujrzałem Joannę.

Wiedziałem o niej początkowo tylko tyle, że przyjechała do Burgweide transportem, wymęczona podróżą w zaplombowanym wagonie i że przeszła, jak wszyscy, przez pruszkowską gehennę. Później opowiedziała mi o swych losach i o swym domu, który przestał istnieć, podobnie jak tysiące innych domów warszawskich, co zgorzały w łunach sierpniowego patosu.

Joanna była młoda, ładna i smutna. Ale smutnymi byli wszyscy w Burgweide, tym przedsionku do dalszego niewolnego życia we wnętrzu narodowo-socjalistycznego molocha niemieckiego. Jednym sądzona była, w dalszym etapie wędrówki, ciernista droga obozów koncentracyjnych, inni rzucani byli do niezliczonych obozów pracy, rozsianych po całych Niemczech, niektórych przeznaczano „do Bauera", gdzie mieli wprawdzie pod dostatkiem żarcia, ale gdzie zaznawali piołunowej goryczy niewolniczej pracy, deprecjonującej godność człowieka w stopniu może nie mniejszym, niż to czyniono w Gross Rosen, Buchenwaldzie czy Ravensbrück.

Joanna szła w czwórce przede mną. Nieprzeciętna uroda dziewczyny przygaszona była jednak przebytymi trudami podróży i przejściami ostatnich tygodni w Warszawie. W oczach Joanny tliły się jeszcze błyski niezgaszonego lęku, zrodzonego z przeżyć na Nowym Mieście, gdzie w podziemiach kościoła Sakramentek bomby niemieckie miażdżyły oszalały z przerażenia tłum, wśród którego znajdowali się rodzice Joanny i jej młodsze rodzeństwo. Dziewczyna została sama, cudem uniknąwszy śmierci, gdyż przypadkiem znalazła się w innej piwnicy, która nie uległa zagładzie. Wydostała się spod gruzów zdruzgotanego kościoła przez wąskie okienko, wychodzące w stronę wiślanego wybrzeża. Nieprzytomna od dymu i kurzawy walących się murów, umazana brudem i sadzą, z krwawiącymi od zadrapań rękami, ze zmierzwionymi włosami — wyglądała strasznie. Tak strasznie, że nawet nie wzbudziła zwykłej samczej żądzy wśród czeredy własowców z bandy Kamińskiego, którzy w pobliżu zrujnowanej Wytwórni Papierów Wartościowych na Konwiktorskiej rewidowali korowód idących od Sakramentek męczenników. Na widok Joanny, własowscy żołdacy wybuchnęli tylko rechotliwym śmiechem, wskazując dalszy kierunek marszu. I tylko jeden z nich, bardziej spostrzegawczy, podbiegł do Joanny, gdyż dojrzał na przegubie jej dłoni złoty zegarek.

Później był rubikon selekcyjny kościoła na Wolskiej i szosa w tumanach kurzu do pruszkowskiego „Dulagu", gdzie posiadanie blaszanki na zupę równało się nadzwyczajnemu szczęściu. Pięć nocy spędzonych na betonowej, zawszonej podłodze olbrzymiej hali, wśród zdenerwowanych, kłócących się i złorzeczących ludzi i wreszcie — długi szereg towarowych wagonów, które złowieszczym stukotem kół wydzierały z serca ostatnią, wątłą roślinkę nadziei.

— A dalej już pan wie — kończyła swe opowiadanie Joanna. — Nie przypuszczałam nawet, że w miejscu, gdzie nas wypędzą z dusznych wagonów padnie słowo: „Breslau". Myślałam, że wiozą nas w głąb Rzeszy, do jakiegoś „kacetu", jak niegdyś tamtych, do Treblinki... Powiem szczerze, że mimo całego otępienia, w jakim się znajduję od chwili wyjścia z lochów Sakramentek, budzi się we mnie wielkie pragnienie życia. Co z nami zrobią dalej, jak pan myśli?

— Myślę, że przede wszystkim trzeba się dostać jak najprędzej do kotła z zupą — odparłem.

Zbliżaliśmy się właśnie do wylotu labiryntu. Kończyło się dwugodzinne, wyczerpujące dreptanie po zapylonej alei udręczeń, którą musiał przebyć każdy, kto chciał otrzymać tzw. szumnie „obiad". Wysiłek fizyczny, towarzyszący tej procedurze, był oczywiście niewspółmiernie wielki do końcowego osiągnięcia, jakim była porcja zupy z dodatkiem kilku dekagramów chleba.

Następujące sobie na pięty czwórki zamieniały się teraz w dwurząd, oba rzędy podchodziły śpiesznie do baterii kotłów, przy których urzędowali Niemcy-kucharze. Warząchew na drewnianym kiju zanurzała się we wnętrzu kotła, a zawartość czerpaka, stanowiąca należną porcję, wylewana była brutalnie do podstawionego naczynia.

— Los! Los! — pokrzykiwali SS-mani, popychając tych, którzy z napełnionymi miskami stąpali ostrożnie, aby ominąć kleiste kałuże rozlanej zupy.

Joanna — gdy przyszła na nią kolej — podsunęła niezręcznie swój talerz. Ładunek płynu uderzył w naczynie, przechylił je i pół litra grochówki znalazło się na piachu.

— Och, du dumme!... — zamamrotał wściekle czerwony i spocony Niemiec. Zarumieniona ze wstydu Joanna nie wiedziała co dalej robić. Wówczas rozzłoszczony szwab, nie wiele myśląc, trzasnął swą warząchwią w jej pusty talerz, który jak dysk zatoczył w powietrzu łuk i spadł za drutami ogrodzenia. Chóralny rechot niemieckich gęb ozwał się jako aprobata czynu kolegi. Joanna z pustymi rękami poszła w kierunku baraków.

— Zwei Portionen, bitte — powiedziałem spokojnie i stanowczo, podsuwając swoją menażkę.

— Zwo Portionen?! Warum?! — krzyknął kucharz, zdumiony moim niesłychanym żądaniem.

— Moja siostra jest chora, nie mogła tu przyjść i dla niej wezmę drugą porcję. Ot, tam leży — kłamałem jak z nut, wskazując jakąś kobietę leżącą istotnie pod ścianą baraku.

Niemiec spojrzał na mnie podejrzliwie, ale ostatecznie dał mi podwójną porcję zupy, którą podzieliłem się z Joanną, gdy wydostaliśmy się oboje z kręgu widzenia ludzi, obsługujących kotły.

Od tej chwili nasza znajomość nabrała cech trwałej przyjaźni.

Mówiono o nas, łącząc zawsze nasze imiona: Joanna i Krzysztof. Trzymaliśmy się razem, wspierając się wzajemnie radami i słowami otuchy. Niezliczone apele, przeglądy i ciągłe rejestracje na dziedzińcu komendantury obozu były momentami, które zbliżały do naszej świadomości groźną perspektywę rozstania. Przez olbrzymi teren Burgweide przelewały się tymczasem coraz to nowe fale uchodźców, wywożonych transportami z Warszawy. Ludzi tych nieustannie segregowano, przesłuchiwano, fotografowano i poddawano różnym zabiegom sanitarnym, których treść urągała i wszelkim pojęciom o higienie i aseptyce.

Obóz dzielił się zasadniczo na dwie części, odgrodzone od siebie drutami kolczastymi: część „brudną" i „czystą". W pierwszej uchodźcy oczekiwali na załatwienie niezliczonych formalności, poprzedzających właściwe skierowanie do obozu pracy lub wysyłkę do „kacetu". Okres oczekiwania ciągnął się nierzadko całymi tygodniami; stłoczeni w brudnych zawszonych barakach ludzie marzyli o przedostaniu się na drugą stronę obozu, gdzie kwarantanna była już o wiele krótsza i gdzie decydowano o losie całych grup i jednostek.

Przed wieczorem któregoś dnia sierpniowego stało się wiadomym, że grupa, do której należeliśmy z Joanną, ma się przygotować do przejścia na drugą stronę obozu. Wszyscy mieli się stawić o ósmej wieczorem na placu przed barakiem, mieszczącym łaźnię.

Zmrok już zapadał, gdy długi korowód mężczyzn, kobiet i płaczących dzieci zatrzymał się przed odrutowaną bramą, wiodącą na teren kąpieliska. Po chwili zapora rozwarła się i zdenerwowany tłum wlał się do pustego dziedzińca. Niemieccy funkcjonariusze obozu krótkimi okrzykami i popychaniem dzielili teraz przybyłych na dwie partie: kobiety i dzieci miały pójść do kąpieli pierwsze, mężczyźni w drugiej kolejce. Każdy z nas ściskał w garści swój ubogi dobytek, wyniesiony z Warszawy: plecaki, tłumoki, walizki, koce.

Po upalnym dniu nastąpiło gwałtowne ochłodzenie; niebo zaciągnęło się chmurami i zaczął mżyć dokuczliwy deszcz. Szczelnie pozamykane i pomalowane niebieską farbą okna łaźni przepuszczały stłumiony gwar kąpiących się i głośniejsze pokrzykiwania dozorców.

Ten pseudo-sanitarny zabieg — jak niebawem miałem się sam przekonać — był raczej przepisową, konwencjonalną komedią, nie mającą wiele wspólnego z prawdziwą kąpielą.

Po opuszczeniu budynku piekielnej łaźni wyszliśmy na podwórze, spowite mrokiem nocy. Deszcz padał nieustannie. Tłum kobiet, które opuściły kąpielisko przed nami, oczekiwał naszego wyjścia. Ale był to, jak stwierdziliśmy, tłum rozgorączkowany jakąś awanturą, niespokojny, kłótliwy, szemrzący wieloma głosami.

Bardzo prędko przekonałem się, że nieszczęsną bohaterką jakiegoś zajścia była właśnie Joanna... W świetle błysków kieszonkowych latarek, dojrzałem hełmy niemieckich policjantów. Otaczał ich krąg krzyczących i gestykulujących kobiet, które mówiły jedna przez drugą. Gruba, przysadzista jejmość, z podniesioną do góry pięścią, wykrzykiwała głośno i namiętnie:

— Widzicie ją, łachudrę malowaną! Jeszcze się zapiera — zdzira koszlawa. Mówię wam — wzięła! Jak pragnę doczekać wolności, wzięła! Her policaj — ciągnęła Niemca za rękaw — dize frajlajn ukradła majne gold. Rozumiesz pan? Ukradła! Ferszteen zi?

— Ja, ich verstehe. Aber du, stara, halte Maul! Ne kszicz! — złościł się szwab, odpychając napierające go baby. — Und du — komm mit! — szarpnął za rękę zanoszącą się od płaczu Joannę.

Na nic się zdały moje perswazje i prośby, aby dano spokój dziewczynie, o której niewinności byłem przekonany. Sytuacja była dramatyczna i pełna ohydy. Joanna ukryła twarz w dłoniach, a ciałem jej wstrząsało gwałtowne szlochanie. Otoczona policjantami, z których jeden wziął jej plecak, a drugi popychał ją karabinem, zniknęła po chwili za węgłem domu. Z dala słychać było jeszcze przerywane płaczem słowa, którymi starała się przekonać Niemców o swej niewinności. Wreszcie i to ucichło.

Z bezładnych relacji kilku kobiet, dowiedziałem się, że Joanna posądzona została o przywłaszczenie złotej bransoletki w chwili, gdy kobiety ubierały się po kąpieli. Poszkodowana — dygocąca ze złości sklepikarka z hal na Koszykowej — dowodziła zapamiętale, że wina Joanny jest bezsporna i że oskarżenia nie cofa. Bransoletka znajdowała się w torebce, leżącej na ławce, obok Joanny. Nikogo innego w pobliżu nie było.

— Ja do torebki, moja pani, a tu pancerki nie ma! — biadała dalej stara. — Ukradła, podlec i słowa nie cofnę.

— Ale gdyby się okazało, że jest inaczej, to bidna twoja twarz paniusiu — ozwał się jakiś robociarz, żując flegmatycznie skórkę od chleba. — Oskarżyłaś pani przed Niemcami Polkę. Pamiętaj!

Tę noc spędziłem bezsennie. W gorączkowym majaczeniu widziałem Joannę z poranionymi od razów plecami, opuszczoną przez wszystkich, przeżywającą koszmar hańby i wstydu. Była to jedna z najcięższych nocy w moim życiu.

Z rana wypędzono nas na plac, gdzie odbył się długotrwały apel i ostateczny podział na grupy, z przeznaczeniem do różnych ośrodków pracy. Obojętnie przyjąłem swój los. Miałem skierowanie do wielkiej fabryki przemysłu wojennego pod Legnicą. Pod eskortą ss-manów maszerowaliśmy długo ulicami pięknego, pełnego życia i ruchu Wrocławia, na dworzec kolejowy, gdzie oczekiwali nas agenci „Arbeitsamtu", którzy mieli dostarczyć nas na miejsca przeznaczenia.

W ostatniej chwili przed odejściem pociągu, ujrzałem ze zdumieniem i radością Joannę na peronie. Szła blada, ale uśmiechnięta w otoczeniu nieznanych mi ludzi, kierując się do pociągu, który stał na sąsiednim torze.

— Joanno! — krzyknąłem, wychylając się gwałtownie przez okno — Joanno!

Pociąg mój ruszył i nabierał rozpędu. Usłuszałem jeszcze jej radosny okrzyk:

— Bransoletka... znalazła się... w kąpielisku... do widzenia...

Zgrzyt kół na zwrotnicy zagłuszył jej dalsze słowa.

*

Minęły trzy lata od dni przeżytych w Burgweide. Dużo się zmieniło w tym czasie na ziemi śląskiej. M. in. zapadła się w mrok, jak wszystkie inne nazwy niemieckie i nazwa Burgweide. Ale pozostały, po prostu: Sołtysowice.

Podczas jednej ze swych letnich wędrówek po Dolnym Śląsku, zabłądziłem do podnóży Gór Sowich. Szedłem skrajem szosy, porządkując turystyczne wrażenia, wyniesione z pięknej Świdnicy, od której oddaliłem się właśnie o kilkanaście kilometrów. Na widnokręgu widać było jeszcze majestatyczną wieżycę świdnickiej fary, zbudowanej przez piastowskich książąt.

Droga wiła się wśród malowniczych zboczy górskich, porosłych ciemnymi smrekami. Klamry betonowych mostków spinały szosę nad łożyskami kamienistych potoków, których zacienione brzegi wabiły chłodem i zapachem mięty. Znużony usiadłem pod krzakiem leszczyny.

Na szosie, od strony gór ukazała się spora gromadka dzieci. Szły parami, śpiewając piosenkę o majowym deszczyku, złotej tęczy i liliowym wianuszku. Dźwięczne ich głosiki, jak jaskółczy chór, odbijały się o bazaltowe ściany górskiego wąwozu i mieszały się z szumem potoku. Na czele wycieczki szło dwoje młodych ludzi. Trzymali się mocno za ręce, podobnie jak prowadzone przez nich dzieci i rozmawiali wesoło, zapatrzeni w siebie. Włosy młodej kobiety lśniły w słońcu, miedzianym blaskiem. Tak, to była Joanna z Burgweide...

Cofnąłem się głębiej w cień, kiedy gromadka przechodziła obok mego krzaka leszczyny. Po chwili wszyscy zniknęli za zakrętem drogi.

Na szosie zjawiła się jeszcze jakaś mała maruderka, utykająca na nogę, którą sobie widocznie otarła w czasie wycieczki. Spieszyła się teraz, aby dogonić swe koleżanki.

— A skąd to idziecie, dzieci? — zapytałem wysuwając się ze swego ukrycia.

Dziewczynka przestraszyła się początkowo, ale widocznie miałem niezbyt groźny wygląd, gdyż odpowiedziała rezolutnie śpiewnym, wileńskim akcentem.

— Wracamy z wycieczki, z Chojnowca. Idziemy do Krzeszowa, a stamtąd pojedziemy pociągiem. My ze Świdnicy.

— A ta pani, to pewno wasza nauczycielka? — indagowałem dalej, siląc się na obojętność.

— Tak to nasza pani. I pan kierownik, mąż naszej pani.

— Mąż waszej pani... No, to śpiesz się dziecko, bo nie dogonisz swoich.

— Dogonię. O, jeszcze słychać jak śpiewają.

Istotnie z dala brzmiała chóralna piosenka, tym razem na góralską nutę.

Właściwie, to mogłyby zaśpiewać o „Przepióreczce, co uciekła w proso" — pomyślałem sobie. Jak w sztuce Żeromskiego.

Ale dzieci śpiewały po swojemu.

St. A. Michałowski

NOWOŚĆ
W. DEEPING
Małżeństwo z przeznaczenia
str. 244 zł 600,—
poleca
KSIĘGARNIA
ZDZISŁAW
GUSTOWSKI
Do nabycia we wszystkich księgarniach. (80)

ZBYSZKO BEDNORZ

Trud i dzieło pewnego „Ślężoka"

Przyjaciel Ryszarda de Bury

Z pewnymi osobami wiążą się często uporczywe skojarzenia. Przeważnie drogą kontrastu albo podobieństwa. Ilekroć rozmawiam n. p. z Wojciechem Bąkiem, autor „Śpiewnej samotności" kojarzy mi się z wysokim, wyniośle brodzącym ptakiem; na Wilhelma Szewczyka nie umiem inaczej patrzeć jeno jak na każącego w zborze pastora, zaś *Jan z Bogumina Kuglin* wiąże mi się *z sową* rysowaną na książce. Bodajże jest istotnie w fizjognomii tego chyba największego bibliofila i typografa w Polsce coś, co ma związek właśnie z tym szacownym znakiem. Posiada Kuglin pewną godność, spokój, pewną mądrość, rozwagę, założoną wszakże na szaleństwie swoich drukarskich umiłowań.

Mało jest w Polsce ludzi, którzy kochają się w książce, którzy się znają na pięknej książce, którzy umieją ją pieczołowicie, po matczynemu pielęgnować, przechowywać, ale jeszcze jest mniej takich, którzy umieją piękną książkę *tworzyć.*

Kiedy parę miesięcy temu Hanna Malewska przypomniała w „Znaku" Ryszarda de Bury „Philobiblion czyli traktat o miłości do ksiąg" z XIV wieku, pomyślałem z troską: dlaczego nie uczą w szkołach, w gimnazjach o tym kapitalnym dokumencie kultury średniowiecznej, którego całe partie, młodzież zwłaszcza, winna znać na pamięć tak jak zna dzieje krwawych bitew i wojen, przeczących przecież kulturze. „Stwórco i Miłośniku najwyższy pokoju „rozprosz narody, które chcą wojny" ponad wszelkie klęski szkodliwej dla ksiąg... Zaiste nie potrafimy nigdy dosyć godnie użalić się nad księgami, które zginęły na skutek wojen w różnych częściach świata..." — powiada autor „Philobiblionu". Jakiż to cudowny traktat, jak aktualny szczególnie w rozdziale siedemnastym, gdzie mowa „o staraniu, z jakim należy dotykać ksiąg i układać je". Chciałoby się go tu cytować szeroko i serdecznymi słowami zachęcać wszystkich do przejęcia się nim, wszystkich którzy by jeszcze nie wiedzieli, że „pilniej godzi się dbać o zachowanie ksiąg niż trzewików" (De Bury).

Jan z Bogumina Kuglin może być śmiało nazwany przyjacielem i wiernym sojusznikiem Ryszarda de Bury, biskupa Durhanu: obu mimo wieków przedział ta sama miłość łączy, ta sama pasja i prawda. Niejedną godzinę przepędziłem na gawędach z Kuglinem, wiem tedy, że średniowieczny traktat o miłości do ksiąg biskupa de Bury uważa nasz typograf za „wielką kartę" kultury ksiąg. Właśnie za mało czasu poświęcamy kulturze książki. Za to Kuglin tę ideę realizuje z fanatyzmem rzadko spotykanym współcześnie, poświęca jej życie. To chyba dużo powiedziane.

Region bibliofilów

Książce poświęca życie. Najlepsze siły wieku młodzieńczego i wieku dojrzałego. Jak się to stało, jak do tego doszło? Przede wszystkim pochodzi Kuglin z regionu cieszyńskiego, to znaczy z tego regionu w Polsce, który, przypuszczam, nie ma sobie równego w całym kraju właśnie w dziedzinie kultu żywionego przez prosty lud do słowa drukowanego i w ogóle do spraw tradycjonalnej kultury artystycznej. Jeśli się mylę, to sprostujcie pomyłkę. ale wydaje mi się, że nigdzie indziej nie wyrosło z ludu tyle dzieł sztuki świątkarskiej, tyle dzieł sztuki zdobniczej, tyle nie wyśpiewało się ballad ondraszkowych i nieondraszkowych, tylu nie żyło wolnych, artystycznych z Bożej łaski powsinogów, tylu wreszcie nie było dostojnych, choć prostackiego rodu *miłośników ksiąg* — ile na tej ziemi podbeskidzkiej i beskidzkiej. Artykuł o Kuglinie tym właśnie miałem zamiar rozpocząć, że chciałem omówić w pewnym syntetycznym skrócie niektórych zbieraczy i przyjaciół książki na tej ziemi i w ogóle na Śląsku, ale, bracia, zaledwie się zacząłem zagłębiać w temat doszedłem do wniosku, że ta praca czeka na trud uczonego lub pisarza, który by się mógł specjalnie i wyłącznie tym problemem zajmować przez dłuższy okres czasu; do tej pory wszystko jest tutaj jeszcze do zrobienia przez naukę. Wielce nieśmiało zwracam się do profesorów polonistyki na uniwersytetach a szczególnie do profesora historii literatury i kultury polskiej Romana Pollaka w Poznaniu, którego zainteresowania w tym kierunku są mi od dawna znane, by może jekiemuś młodszemu człowiekowi zadał na pracę magisterską opracowanie zagadnienia, które w kulturze polskiej wyznaczają takie nazwiska jak Leopold Szersznik, Londzin, Stalmach, Wallisowie (ojciec i syn), Jur Gajdzica, wieśniak z Cisownicy Wielkiej, jak Jan Wantuła z Ustronia z zawodu robotnik-metalowiec. Ci ludzie w tysiące tomów, z pietyzmem zbieranych i przechowywanych — wkładali swoje serca i swoją Ojczyznę, ci ludzie piękne księgozbiory uważali za rzecz cenniejszą ponad wszelkie bogactwa i ponad wszelkie pożądania.

Więc Jan z Bogumina Kuglin wywodzi się z tego regionu bibliofilów, z takiej wyrasta atmosfery.

Dziwne drogi śląskiego synka

Ojciec naszego typografa Maciej Kuglin był zwyczajnym kowalem-hutnikiem w Boguminie w firmie Albert Hahn i pracował w tej fabryce rur 30 lat. Cóż — miał zaledwie ukończone dwie klasy szkoły ludowej — to i nie wielkie posiadał podstawy ani do świadomości narodowej ani do kultury. A jednak kiedyś jakąś tam drogą poprzez przyjacioły czy przez przypadek dostała się do rąk bogumińskiego robotnika Macieja Kuglina drukowana opowiastka o Ondraszku i oto „Ondraszek był tą siłą, przy pomocy której ojciec mój — robotnik fabryczny doszedł do świadomości narodowej i nie tylko bez pomocy ale wbrew intencji państwa i swych przełożonych zdołał wznieść nad Odrą, do dziś dnia, mimo przewrotów wojennych, dumnie stojącą twierdzę kultury polskiej, siedmioklasową szkołę ludową i wydziałową" (z przedmowy typografa do „Ondraszkowych ostatków" Gustawa Morcinka, wydanych przed wojną w „Bibliotece Studwudziestu"). Więc Maciej Kuglin stał się dzięki Ondraszkowi działaczem oświatowym, ba, stał się zamiłowanym zbieraczem polskich ksiąg; jego księgozbiór prywatny liczył setki tomów, obejmował niemal całą ówczesną literaturę polską, posiadał oprawne tomiska wielu różnych czasopism polskich z wszystkich zaborów... Żył więc nasz Typograf już w środowisku rodzinnym w atmosferze książki.

Jan z Bogumina Kuglin

— Była w domu, pamiętam, pewna świętość; gruby kancjonał śląsko-morawski z klamrami żelaznymi, oprawny w skórę — opowiadał mi niedawno przy szklance herbaty typograf — wydawało mi się jako małemu chłopakowi, że ta księga za mało się świeci, więc by jej nadać połysk, pokryjomu smarowałem skórę „szuwaksem" i czyściłem szczotką do butów —. Tak to w chłopcu coś siedziało z bibliofila. Kradł też ojcu co piękniejsze i ciekawsze książki i zanosił do swego pokoju, organizując potajemnie w swojej szafie własny księgozbiór. Synek śląskiego robotnika. Synek urodzony w 1892 roku, kiedy nikomu się nie śniło jeszcze o upowszechnieniu kultury! Maciej Kuglin posłał dosyć rozgarniętego synka do gimnazjum w Cieszynie, z którego jednak Jan za jakieś przeokropne historie wyleciał mimo, że bronili łobuza tacy profesorowie jak ks. Emanuel Grimm i Franciszek Popiołek. Wyobraźmy sobie, co się musiało dziać w domu bogobojnych rodziców, taki skandal...

Jakimiś tedy drogami dostał się Jan do Krakowa i tu zajęli się śląskim karlusem państwo Mehofferowie, dzięki którym dostał się do gimnazjum, ukończył je i dzięki którym właściwie — został tym, czym dzisiaj jest — artystą-drukarzem. W domu wybitnego malarza, witrażysty i w ogóle wielkiej miary artysty, jakim był Józef Mehoffer zetknął się Kuglin ze światem artystów i poetów, ze światem sztuki. Mimo to przecież poszedłby chyba planowo na medycynę, gdyby nie namowa pani Jadwigi Mehofferowej, która kiedyś rzekła maturzyście: „Jakiż to ładny fach — drukarstwo! Co by to można ładnego w tym fachu zrobić". I ona to zetknęła Jana Kuglina z niejakimś Czerneckim, drukarzem w Wieliczce, z którym wnet stanęła umowa: będzie u niego rok Jan praktykował, po czym Czernecki pośle go do Wiednia na studia w akademii „Graphische Kunstanstalt". Wojna plany pokrzyżowała, ale koncepcja pani Mehofferowej przecież utrzymała się w duszy Jana Kuglina. Z austriackiej armii dostaje się do niewoli rosyjskiej, jest w dalekiej Wiatce, paręset kilometrów od Uralu; ucieka stamtąd do Moskwy i w Moskwie... szuka pracy jako pomocnik drukarski. Realizuje się plan Mehofferowej... Tutaj więc, w Moskwie, dokonuje Kuglin wiecznego zbratania z drukarstwem.

Do wolnej Polski, wraca już kwalifikowanym drukarzem, wraca z *dużą biblioteką*, wraca pełen pasji do sztuki, do wiedzy, do działania. Osiada w Poznaniu, pogłębia swoje studia w dziedzinie sztuki drukarskiej, podróżuje po Europie (Włochy, Francja, Austria, Czechosłowacja, Niemcy) gromadzi obok książek z innych dziedzin sztuki, kapitalną, wielojęzyczną bibliotekę, pono najbogatszą w kraju, z dziedziny wiedzy drukarskiej (teoria, historia, zastosowania praktyczne) oraz z wszelkich dyscyplin pokrewnych drukarstwu. Staje się wreszcie edytorem i typografem znamienitym, staje się artystą i twórcą, powiązanym najściślej z artystyczną kulturą kraju.

Człowiek Renesansu

Napisał ktoś przed wojną o Kuglinie: „to pełny artysta, subtelny i gruntowny znawca sztuki typograficznej, kontynuator najchlubniejszych naszych tradycji na tym polu". Życiem i pracą udowodnił jednakże Kuglin, że jest jeszcze czymś więcej, że zainteresowania i czyny jego obejmują jak u człowieka renesansowego bardzo rozległe dziedziny. Więc: jako twórczy drukarz inspiruje artystów do pracy nad nowym polskim typem czcionki, dokonując zasadniczej reformy przez wynalezienie i wprowadzenie t. zw. antykwy Jeżyńskiego (jakby uroczystej) i t. zw. czcionki Półtawskiego (jak gdyby żałobnej); jako edytor zasłużył się kulturze polskiej wydając setki pięknych, pod względem sztuki typograficznej wykończonych, wypracowanych z pełnym znawstwem i miłością ksiąg i druków; przez jego „Bibliotekę Studwudziestu" weszli w księgozbiory bibliofilskie pisarze jak Kasprowicz, Zegadłowicz, Sztaudynger, Rusinek, Wanda Brzeska, Morcinek, Janta Połczyński, Artur Maria Swinarski, Czuchnowski... Obok tych wydawnictw poświęca wiele trudu i wysiłku wydawnictwom hołdowniczym, jubileuszowym, albumowym, dla artysty malarza i grafika Wyczółkowskiego, dla kompozytora Karłowicza, dla artystki sceny Stanisławy Wysockiej; jest w żywym, twórczym, inspirującym kontakcie z malarzami, grafikami, wszelkiego rodzaju artystami; jest wydawcą arcydzieł książkowych prywatnej, niesprzedażnej „Biblioteki Jana Kuglina", w której między innymi ukazała się „niejako w greckiej architekturze" własnoręcznie przez typografa cudownie iluminowana „Moja pieśń wieczorna" Kasprowicza. Do podstawowych elementów artystycznych koncepcji jego druków należy czcionka, kombinacja łamania, opracowywanie układu wysokości i szerokości strony, studium marginesu, operowanie zdobnikami, inicjały, iluminacja; niemałe znaczenie posiada gatunek papieru i oprawa; używa papierów najbardziej rzadkich, egzotycznych (chińskich, japońskich) oraz krajowych, nieraz bardzo szacownych także co do wieku. Cenniejsze druki Kuglin sam składa i sam tłoczy.

W niektórych, zwłaszcza albumowych wydawnictwach, łączy Kuglin artyzm samej sztuki typograficznej z dobrym rysunkiem, drzeworytem, miedziorytem, przenosząc do książki te gatunki sztuki przeróżnymi, najbardziej nowoczesnymi metodami (m. in. nieużywaną w Polsce nową, specjalną techniką fotografii).

W bilansie jego prac poważne miejsce zajmuje praca redaktorsko-pisarska. Pomińmy tu próby czysto literackie (jak np. wydaną w roku 1938 „Wigilię na Wiatce" — dłuższe opowiadanie) — ponieważ Typograf nie życzy sobie, by o tym pisać; jako współpracownik i potem długoletni redaktor wychodzącego w Poznaniu „Przeglądu Graficznego i Papierniczego" pisze liczne artykuły na tematy związane ze swą specjalnością; pisze i drukuje oprócz tego kilka poważniejszych prac np. „O Tece Pomorskiej Wyczółkowskiego" (w 80-lecie urodzin artysty), pisze i wydaje rzecz bibliograficzną p. t. „Dziesięciolecie E. Zegadłowicza", pisze szereg długich i świetnych t. zw. „przedmów" do niektórych wydawnictw, z których najlepiej może jakiś późniejszy monografista będzie mógł się zorientować jakie to idee i cele pragnął typograf realizować współtworząc z literatem książkę. Przy tej okazji warto zacytować choć jedną jego wypowiedź; oto w pewnej przedmowie pisze: „Zadanie typografa uważam za misję społeczną. Nie powinno mu być obojętne co i dla kogo z pod prasy jego wychodzi. Zdawać sobie powinien sprawę, że bibliografia zawsze i jego cechować będzie, zarówno z autorem, jako sprawcę rzuconej w świat dobrej czy złej idei. Tak rozumując, starałem się w miarę swoich środków, służyć drukiem idei piękna, prawdy i dobra. A ilekroć pozwolą mi warunki urzeczywistnić choćby jeden z tych celów, dzieło, któremu nadaję szatę zewnętrzną w formie książki, staje mi się drogie, napawa mnie wielką radością".

Cóż trzeba jeszcze powiedzieć, że Jan z Bogumina Kuglin jest także przygodnym, ale pełnym kultury tłumaczem z czeskiego (tłumaczył, tłoczył i wydał Jana Cepa „Drogę na jutrznię"), że idei zbratania polsko-czeskiego poświęcił królewski druk, wydany w kilku zaledwie egzemplarzach, a mianowicie Emila Zegadłowicza „Budziejowickie łąki", z których pierwszy z oryginalnym nadrukiem wręczono wielkiemu T. G. Masarykowi (r. 1932). Cóż, trzeba jeszcze powiedzieć, że zna, rozumie i praktycznie, w miarę swych skromnych możliwości „realizuje" ową kulturotwórczą instytucję mecenatu, wyciągając za uszy młodych i starych adeptów muzy (tak, ratując także nieraz groszem); że posiada głęboką kulturę osobistą i że wie co to cnota bezinteresowności pracy.

Osobnym rozdziałem trzeba by uczcić Kuglina jako człowieka, któremu zawdzięcza całe powojenne śląskie drukarstwo swoją *generalną odbudowę.* Mianowany w r. 1945 dyrektorem Państwowych Zakładów Graficznych okręgu śląskiego zastał zarówno na Opolszczyźnie jak i na Górnym Śląsku ruinę i dewastację (np. ze stusiedmiu drukarń na Opolszczyźnie pozostały tylko 2 linotypy i 36 drukarń bez urządzeń i bez maszyn!) No, co tutaj na tym ogromnie ważnym stanowisku dla całokształtu życia społeczno-politycznego i kulturalnego zrobił — wymagało by specjalnego opracowania; wystarczy jedynie stwierdzić, że dokonał dzieła dużego, cicho, prędko, z entuzjazmem i z zadziwiającą energią (Por. o tych sprawach mój artykuł

(Dokończenie na str. 4)

Ze Śląska do Chin

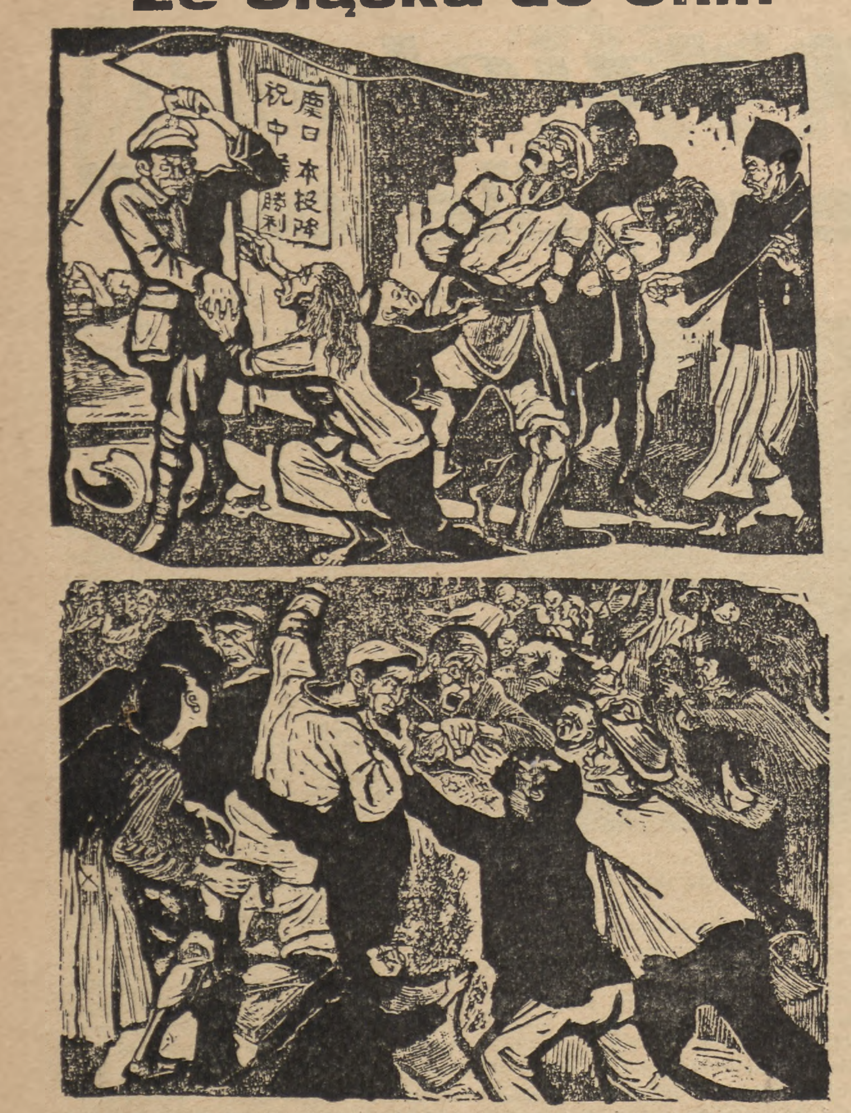

Śląsk dzięki Domanowi Wieluchowi, twórcy nowoczesnej sinologii i autorowi pierwszego „Słownika chińsko-polskiego“ (Katowice 1936), oraz Janowi Wyplerowi, tłumaczowi poetów i filozofów chińskich, wydanych przez niego w pięciu odrębnych tomach, stał się oryginalnym centrum zainteresowań chińskich. Przed wojną istniała w Katowicach prywatna szkoła Domana Wielucha, gdzie dla małej grupki zainteresowanych odbywały się kursy języka i historii kultury chińskiej. Osiągnięcia Domana Wielucha na polu sinologii znajdują coraz większe uznanie za granicą, zwłaszcza dzięki warunkom, które Wieluch po wojnie dla swojej pracy naukowej uzyskał na terenie Danii. W Katowicach pozostał Jan Wypler, wzbogacający kulturę polską o coraz nowsze przekłady z literatury chińskiej. Ostatnio dokonał z oryginału chińskiego pełnego przekładu „Koła kredowego“ Li Hsing-Tao, który z pewnością wyprze na scenach polskich niezgodną z oryginałem przeróbkę niemiecką Klabunda. Śląska sinologia nie jest jednak jednostronna w swych zainteresowaniach. Chiny przeżywają w chwili obecnej wielki przełom historyczny, który nada państwu środka nowe oblicze socjalne i kulturalne. Wokół chińskiej armii ludowej zgrupowała się liczna gromada pisarzy i artystów, którzy zapamiętują dni przełomu i dni walki w swej sztuce. Wyżej reprodukujemy dwa drzeworyty ze szkoły artystycznej chińskiej Armii Ludowej, ukazujące terror panujący na terenach, zajętych przez wojska Czang Kai Szeka i sprzymierzonych z nim generałów. Jan Wypler pracuje obecnie nad tłumaczeniem pieśni chińskich Armii Ludowej. (Kora)

Trud i dzieło pewnego „Ślężoka“

(Dokończenie ze str. 3)

w „Przeglądzie Zachodnim“ nr 5, r. 1946 — „Przed startem wydawniczym na Śląsku“).

Druki śląskie i „Stychy Wrocławskie“

Bliższą ojczyzną Kuglina jest Śląsk, góry, cieszyńskie; gdziekolwiek był zawsze za swoimi stronami tęsknił (zdarzało się, wybaczcie niedyskrecję — tęsknił pełen najgłębszego wzruszenia z prawdziwą łzą w oku). Toteż nie dziwić się — że ze Śląskiem m. in. powiązał szereg swych arcydzieł wydawniczych. Jednym z pierwszych „silesiaków“ były Artura Marii Świnarskiego „Treny na śmierć przyjaciela“ czyli siedem wierszy napisanych w Istebnej i Katowicach jako wspomnienie po śląskim przyjacielu Swinarskiego, Alfredzie Kupce. W roku 1929 wydał Kuglin Emila Zegadłowicza „Dziesięć ballad o powsinogach bezkidzkich“ z barwnymi drzeworytami Pronaszki, a w ślad za tym tegoż Zegadłowicza przepiękną „Balladę o Świątkarzu“ z serdeczną przedmową typografa, z prymitywnymi drzeworytami ludowego rzeźbiarza religijnego Jędrzeja Wowra (jest to droga, kochana i radosna książka, której bym nie oddał za żadną rzecz na świecie). Po „Świątkarzu“ ukazuje się „Spór o własność Szpitala Maltańskiego w Rybniku“, dosyć obszerna, przyczynkarska praca dr St. Stawskiego, stanowiąca materiał do historii kawalerów Maltańskich i ich charytatywnej działalności na Śląsku.

Następne śląskie pozycje Kuglina, nb. wszystko cudeńka typograficzne, zindywidualizowane artystycznie — to fragment prozy Gustawa Morcinka „Ondraszkowe ostatki“ z obszerną rozprawą typografa, obrazującą znaczenie jakie miała dla budzenia ruchu narodowego na Śląsku mała „literatura feizingerowska“, to w r. 1933 wydany druk szczególnie dla kultury polskiej cenny i ważny, a mianowicie odkryty przez prof. dr Romana Pollaka w Gnieźnie siedemnastowieczny hutniczy poemat polski p. t. „Officina Ferraria abo Huta y Warstat z Kuźniami Szlachetnego Dzieła Żelaznego“ (w trzy lata później wydany przez R. Pollaka z naukowym komentarzem przez Instytut Śląski). Zarówno „Officina ferraria“ jak i inny, wydany równocześnie druk „Pieśń o Śląsku“ Zegadłowicza zostały przez typografa ofiarowane bezpłatnie czytelnikom „Zarania śląskiego“. Przed wojną wyszły jeszcze z pod jego ręki: Stanisława Ligonia „Wesele na Górnym Śląsku“ z wieloma barwnymi ilustracjami i obfitym tekstem muzycznym, Ks. Em. Grimma z Istebnej „Wanda“ i „Kwiat paproci“, albumowe wydawnictwo „Wiązanka tańców śląskich“ oraz „Ostatni list Jana Franka“ — rzecz oryginalna na jubileusz gimnazjum polskiego w Cieszynie.

Swoją działalność powojenną znaczy artysta-typograf dwoma bibliofilskimi wydawnictwami piszącego te słowa („Glossy śląskie“ i „Strofy serdeczne“), wreszcie z okazji Wystawy Ziem Odzyskanych składa szermierzom polskości Ziem Nadodrzańsko-Nyskich pyszny i wykwintny upominek w postaci „Stychów wrocławskich“.

Gdy przed kilku tygodniami spotkałem Kuglina na pełnej ruchu i pośpiechu ulicy Warszawskiej w Katowicach, miał minę człowieka prawdziwie szczęśliwego. Płonął. Złapał mnie pod ramię i zaprowadził do pobliskiego Instytutu Śląskiego. Weszliśmy do pustej sali wykładowej. Wręczył mnie jako pierwszemu (przez przypadek oczywiście) swoje „Stychy“, których kilka egzemplarzy co dopiero wyjął z gniazda drukarskiego — były jeszcze ciepłe.

Dopieroż w domu pieszczenie i oglądanie dzieła: aha, „...z zasobów czcionkowych, nabytych z drukarni Kornów we Wrocławiu...“, acha, „... wiersze nr 1, 2, 3, 4, 5; 6; 10 i 11 po raz pierwszy ze starych druków wydobył *Aleksander Rombowski, historyk i archiwista w Mieście* (Wrocławiu) obecnie pracujący,, zaś wersze 7, 8 i 9 z oryginału odpisał, wydanie do druku przysposobił, spisem rzeczy opatrzył i troskę o wydawnictwo podjął *Julian Lewański*, adiunkt Uniwersytetu Wrocławskiego“. Cóż za wspaniała ozdobna winieta tytułówki, cóż za śliczne barokowe ozdobniki i inicjały!

I potem rozpocząłem czytać: „Ad Lectorem. Powoli z zabytków architektury, z pamiętników, ze starych druków, odsłaniamy prawdę o polskiej przeszłości Wrocławia. Drukowane tu wiersze, płody i doskonałego i miernego pióra, związane są z miastem, niektóre dość luźno, bądź swoim powstaniem, bądź osobą autora, bądź tematem. Obejmują setkę lat, wiek XVII, tyczą spraw zwykłych, codziennej troski. Jedne mówią o nauczaniu, drugie są skromnymi dokumentami pamięci — gratulacjami, jest i pieśń nabożna z kancjonału. Ta wiązanka, złożona z takiego materiału, jaki właściwie, przypadkiem dostarczyły dotąd księgozbiory, wypełnia przecież żywą treścią wycinek wrocławski dawnej polskiej kultury literackiej“.

Jakaż tedy ona, ta wrocławska poezja siedemnastowieczna? Niech ją rozstrząsają spece. Mnie wszakże najbardziej przypadł do gustu wiersz niejakiegoś J. V. P.:

Klucz zamki otwiera i miejsca zamczyste,
Ukazując przystęp, czyni otworzyste.
Ta książeczka jemu tu podobna będzie,
Acz podobno wszystkim nie dogodzi wszędzie,
Bo gdyż Graekowie swe Dialektos mają,
Tychże też ochotnie wszyscy używają.
Niech też Ślężokowi Polak życzy tego,
Aby mógł języka użyć krainnego.

Jest wzruszający ten „Ślężok“ wrocławski, walczący o używanie języka krainnego. Polskiego odrzańskiego i wiślańskiego języka.

Zbyszko Bednorz

Odwiedziny w Państwowym Teatrze Śląskim

Helena Rozwadowska, artystka Państwowego Teatru Śląskiego, obchodziła jubileusz 35-lecia pracy teatralnej. Rozwadowska należy do grupy najlepszych artystek polskich. Doskonała w rolach charakterystycznych, na przedstawieniu jubileuszowym odtworzyła znakomicie rolę Pani Orgonowej z „Dam i huzarów“

Krystyna Berwińska - Gogolewska, absolwentka wydziału dramaturgicznego łódzkiego PIST-u, jest dramaturgiem Państwowego Teatru Śląskiego. Teatr ten wystawi jeszcze w bieżącym sezonie jej pracę dyplomową, tłumaczenie sztuki Beaumont-Flethera „Rycerz gorejącego pieprzu“. W tych dniach w praskim Miejskim Teatrze dla Młodzieży odbyło się przedstawienie jej „Bajki o Janku co psom szył buty“ w tłumaczeniu Mili Melanovej. Na scenie Państw. Teatru Śląskiego biegnie „Dobrze“ Majakowskiego w przeróbce scenicznej K. Gogolewskiej

Na 31 rocznicę rewolucji październikowej Państwowy Teatr Śląski wystawił „Dobrze“ Włodzimierza Majakowskiego w tłumaczeniu Artura Sandauera, w przeróbce scenicznej Krystyny Gogolewskiej, w reżysrii Władysława Krasnowieckiego. Równocześnie teatr wydał jednodniówkę p. n. „Wieczory teatralne“, które ukazywać się będą jako pismo teatralne, poświęcone Majakowskiemu i teatrowi rosyjskiemu. Na treść „Wieczorów“ składają się W. Szewczyka „Rewolucyjny afisz“, A. Wydrzyńskiego „Przyjdź pan za sto lat, to pogadamy“, A. Isbacha „Majakowski pozyskał cały świat“, A. Widery „MCHAT jubilat“ oraz tablica chronologiczna „Drogowskazy teatru rosyjskiego“. Jednodniówkę zredagował W. Szewczyk

Wśród CZASOPISM

Ponieważ niektóre ważne dosyć i ciekawe wydarzenia kulturalne Czechosłowacji nie znalazły jeszcze odbicia w prasie polskiej, warto będzie poświęcić im kilka słów posługując się materiałem dzienników i tygodników czeskich.

Przypadające na dzień 28 października święto narodowe Republiki Czechosłowackiej uczczone zostało w tym roku — jak zwykle zresztą — przyznaniem nagród państwowych artystom i pracownikom kultury. Obserwatora polskiego uderza przede wszystkim wielka ilość udzielanych przez państwo nagród i ich wszechstronność. Udzielone w Czechosłowacji nagrody państwowe objęły w tym roku muzykę, teatr, literaturę, sztuki piękne, naukę (pięć nagród z różnych dziedzin), film, radio i grafikę książkową wraz z typografią. W sumie było tych nagród aż 27. Czytelnika polskiego interesować będą przede wszystkim te nagrody, do których jest bardziej przyzwyczajony i przy których nazwiska laureatów mogą mu coś mniej więcej mówić, a jeśli jeszcze mówią mu niewiele, to może się z nimi zetknąć w niedalekiej przyszłości. Do tej kategorii nagród należą nagrody literackie, których przyznano trzy. Pierwszą otrzymał poeta *Vladimir Holan* za twórczość w latach 1945—1948, drugą powieściopisarka, której nazwisko w Polsce jest już nieco spopularyzowane, *Maria Pujmanová* za wydaną ostatnio powieść „Zabawa z ogniem“ (Hra z ohnem), będącą dalszym ciągiem zapowiedzianych w przekładzie polskim przedwojennych „Ludzi na rozstaju“, trzecią natomiast pisarz, który będąc z pochodzenia Czechem pisuje stale po słowacku, *Petr Jilemnicky* za powieść z powstania słowackiego pt. „Kronika“ (tytuł oryginału słowackiego „Vitr se vraci“) z uwzględnieniem całokształtu twórczości, która utrzymana jest od lat blisko dwudziestu konsekwentnie w duchu realizmu socjalistycznego. Twórczość Jilemnickiego udostępniona będzie wkrótce czytelnikowi polskiemu w kilku przekładach. Zapowiedziane są m. in. powieści „Pole nie orane“ (z życia wsi słowackiej) oraz „Kęs cukru“ (z życia robotników przemysłu cukrowniczego). Jilemnicky jest obecnie attaché kulturalnym przy ambasadzie czechosłowackiej w Moskwie.

Pozostałe nagrody podzielone zostały również pomiędzy Czechów i Słowaków. Nagrody muzyczne otrzymali: Czech *Otakar Jeremiasz*, obecny dyrektor opery w Teatrze Narodowym w Pradze, wybitny organizator życia muzycznego i kompozytor (opera „Bracia Karamazow“, cykl kompozycji chóralnych „Zborov“, kantata „Pieśń ziemi rodzinnej“) oraz Słowak *Mikulasz Schneider-Trnavsky* nestor kompozytorów słowackich, pedagog i organizator ruchu muzycznego, zasłużony zwłaszcza w zakresie zbierania słowackich pieśni ludowych, ich opracowywania i publikowania. Pieśń ludowa zasiliła też jego twórczość oryginalną poświęconą w dużej mierze kompozycjom chóralnym, prócz których na uwagę zasługuje poemat symfoniczny „Janosik“ i „Podtatrzańska idylla“.

Nagrody w dziale sztuk pięknych otrzymali: Czech rodem z Moraw *Wincenty Makovsky* za całość twórczości ze specjalnym uwzględnieniem rzeźby pt. „Partyzant“ oraz sześćdziesięcioletni wybitny malarz słowacki *Martin Benda* za całość twórczości związanej silnie ze słowacką sztuką ludową.

Z zakresu filmu udzielono pięciu nagród, przy czym trzy pierwsze objęły współtwórców filmu o czeskich ziemiach odzyskanych „Wieś na pograniczu“. Nagród radiowych też było pięć. Pierwsze trzy potraktowano zbiorowo udzielając ich czeskim pracownikom Radia Czechosłowackiego, pracownikom słowackim oraz zespołowi pracowników Międzynarodowej Wystawy Radiowej w Pradze. Czwarta nagroda jest tutaj znów nagrodą muzyczną, gdyż otrzymała ją szczególnie czynna w radio pianistka Wiera Rzepkova. Piątą nagrodę przyznano zasłużonemu organizatorowi audycji naukowych i oświatowych Živanowi Vodesedalkovi z rozgłośni w Brnie.

Pięć nagród naukowych objęło nauki techniczne, matematyczno-przyrodnicze, pedagogiczne oraz humanistyczne. Z tego ostatniego działu nagrodę otrzymał sześćdziesięcioletni wybitny językoznawca, profesor slawistyki na uniwersytecie w Brnie, *prof. dr Franciszek Travniczek* jako autor „Gramatyki czeskiego języka literackiego“.

Nagrodę teatralną otrzymał *Jan Szkoda*, twórca i dyrektor Teatru Realistycznego w Pradze. Teatr ten zdobył na niedawnym ogólnokrajowym festiwalu teatralnym w Pradze pierwsze miejsce za utrzymaną doskonale w stylu realizmu nowoczesnego realizację sztuki pisarza amerykańskiego A. Millera „Wszyscy moi synowie“.

Z działu typografii i grafiki książkowej przyznano cztery nagrody: *Karolowi Dyrynkowi, Metodemu Kabalovi, O. Menhartovi i Duszanovi Szulcovi.*

Myśląc o dwudziestusiedmiu laureatach czechosłowackich nagród państwowych (nie są to bynajmniej pierwsze nagrody po wojnie) rzewnie wspominamy uchwały sejmu o naszych nagrodach i czekamy na ich realizację.

Nawiązując do państwowej nagrody teatralnej zanotować trzeba, że w Pradze zamknięto pierwszy krajowy festiwal teatralny nazwany „Divadelni žatva“, w której wzięło udział ponad trzydzieści teatrów. Festiwal ten był wspaniałym przeglądem pracy wszystkich poważniejszych scen stałych, objazdowych i dla wsi (słowacki i czeski Teatr dla Wsi składa się z kilku znajdujących się stale w objeździe zespołów dramatycznych oraz z zespołów kukiełkowych). Jury festiwalu przyznało po trzy nagrody w grupie teatrów stałych, objazdowych i młodzieżowych oraz w takiej samej ilości nagrody dla reżyserów, scenografów, aktorów i aktorek. Poza festiwalem wyróżnienie otrzymał jeden z teatrów ochotniczych (zespół związków zawodowych z Považskej Bystrici za „Ożenek“ Gogola). Pierwsze nagrody poza wspomnianym już Teatrem Realistycznym otrzymały Teatr Kameralny z Turcz. Sv. Martina i Teatr Młodych z Brna. Nagrodę reżyserską otrzymał Jindrzich Honzl, aktorskie Karol Máj (Teatr Realistyczny, Praga) i Ewa Vrchlická (Teatr Narodowy, Praga). Nagrodę pierwszą dla scenografów otrzymał Jan Sladek (Teatr Realistyczny).

Namnożyło się też w prasie czeskiej poloniców. Przez niektóre pisma jak *Tvorba i Kulturni Politika* przeszła dosyć nawet gorąca dyskusja o współpracy kulturalnej polsko-czechosłowackiej, przy której to okazji padły ostre słowa krytyki pod adresem czechosłowackiego odpowiednika naszego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Czechosłowackiej. Myśmy w przeciwieństwie do tego usłyszeli bardzo optymistyczny i pełen znanych już nam zapowiedzi wywiad radiowy dyrektora Biura Współpracy z Zagranicą Min. Kultury i Sztuki J. Starzyńskiego. Teatr Narodowy w Bratysławie wydał specjalny obszerny program poświęcony teatrowi polskiemu z okazji premiery sztuki Michała Choromańskiego „Kiedy marmur ożyje“, a Teatr Narodowy w Pradze taki sam program przy premierze „Odwetów“ Kruczkowskiego.

Owa tajemnicza, nieznana w Polsce sztuka Choromańskiego wędruje po teatrach całej Czechosłowacji. Wciąż ją gdzieś grają i gdzieś chwalą, jury festiwalu wyróżniło ją jako utwór wychowawczy w sensie politycznym. Może by tak sprowadzić tekst z Czechosłowacji i przetłumaczyć na język polski. (ki)

Korespondencja z Zabrza

W dniu 12 listopada br. odbyło się w Czytelni Miejskiej Biblioteki Publicznej w Zabrzu, ul. Wyzwolenia 4, walne zgromadzenie konstytucyjne Zabrskiego Oddziału Śląskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Zarys ogólnego planu pracy Zabrskiego Oddziału T. P. N. nakreślił dyr. mgr. Wojciechowski, który biorąc pod uwagę specyficzny charakter Zabrza jako miasta młodego, typowo górniczo-przemysłowego oraz uwzględniając brak w nim ośrodków naukowych, jakimi poszczycić się mogą inne miasta województwa, jak np. Katowice, posiadające Wyższą Szkołę Nauk Społeczno-Gospodarczych, Gliwice — Politechnikę, Bytom — Akademię Lekarską, Zabrski Oddział T. P. N. zwróci w swej działalności szczególną uwagę nie tyle na oryginalne prace naukowo-badawcze (chociaż i tego rodzaju prace przewiduje się), ile na zagadnienie popularyzacji wiedzy, drogą urządzania odczytów i wykładów dla jak najszerszych warstw społeczeństwa. Do tej pory bowiem mieszkańcy Zabrza, żywo interesujący się różnymi przejawami wiedzy i kultury, z braku miejscowego ośrodka naukowego zmuszeni byli realizować swe zainteresowania w sąsiednich miastach. Powstający więc Zabrski Oddział T. P. N. wypełnia olbrzymią lukę, jaka powstała na skutek dysproporcji między rekordowymi sukcesami technicznymi mieszkańców, jak np. pracowników kopalni „Zabrze-Wschód“, a ich niezaspokojonymi potrzebami życia umysłowego. W ogólnym zarysie działalności Zabrskiego Oddziału T. P. N. na plan pierwszy wysuwa się sprawa odczytów związanych przede wszystkim z historią miasta i ziemi zabrskiej. Wśród szeregu odczytów przewiduje się następujące cykle: „Śląsk współczesny“, „Zbiory Śląskie“, „Śląska kultura ludowa“, „Życie teatralne i muzyczne na Śląsku“. Przewiduje się również odczyty w związku z przypadającą w przyszłym roku setną rocznicą śmierci Juliusza Słowackiego i Fryderyka Szopena.

W ten sposób Zabrze, przez stworzenie Oddziału T. P. N., przystępuje do uaktywnienia życia naukowego i twórczości artystycznej.

(nad.)

Encyklopedia „Odry“

W redakcjach śląskich okresu Wiosny Ludów

Po przejściu Śląska pod panowanie pruskie, zwłaszcza gdy ustanowiono regencję Opolską w roku 1816, zaczęła ona wydawać raz na tydzień **Dziennik urzędowy**, w którym wszystkie postanowienia i rozporządzenia, o ile tyczyły się ludności polskiej, ogłaszane bywały w tłumaczeniu polskim. Tłumaczenia te wychodziły spod pióra b. radcy konsystorialnego Richtera. Po jego odejściu w roku 1838 zaprzestano wydawać regularnie tłumaczenia polskie, a w roku 1841 zaniechano tego prawie zupełnie. Karol Kosicki (Koschützky), właściciel W. Wilkowic w powiecie tarnogórskim, uzyskał od króla pruskiego w odpowiedzi na swe wytrwałe starania o wznowienie tych tłumaczeń przyrzeczenie, że będzie wychodzić osobny polski dodatek do dziennika urzędowego, ale ukazały się tylko 2 polskie numery tegoż dziennika w roku 1850, a potem wychodziły już tylko od czasu do czasu tłumaczenia polskie.

Pierwszym polskim czasopismem na Śląsku był **Tygodnik polski**, wydawany od roku 1842 w Pszczynie — na 6 lat przed „Czasem“ krakowskim — przez Krystiana Schemmla, byłego nauczyciela, a podówczas burmistrza Pszczyny. Pismo to, jak wykazywał dopisek w tytule, było poświęcone dla ludu włościańskiego, pisane w stylu zrozumiałym i uwzględniało sprawy dotyczące życia rolników. Gazetę polską na Śląsku zasilał artykułami o sprawach rolniczych, historycznych i wierszami Józef Lompa z Oleszna, sprawujący przez lat 30 skromny urząd nauczyciela i organisty we wsi Lubszy pod Woźnikami. Po czterech latach, w roku 1846 Schemmel zaniechał dalszego wydawania tygodnika, prawdopodobnie ze zwykłych w takim razie przyczyn: mała liczba abonentów, brak funduszów niechęć czytelników, nieporozumienia między wydawcą a współpracownikami itp.

Po 2 latach, w roku 1848 Szemmel rozpoczął wydawać także w Pszczynie **Tygodnik Górnośląski**, przyjaciel ludu. Pismo to, jak pisze Malinowski w Ateneum Warszawskim w roku 1877, tom I (Zarys życia ludowego na Śląsku), miało kierunek pouczająco-gospodarczy i dawało także powieści. Wychodziło do roku 1852, kiedy Schemmel został landratem w Oleśnie. Szemmel jako pierwszy wydawca i redaktor gazet polskich na Śląsku stał się przykładem dla innych.

Od początku czerwca 1848 roku zaczął wychodzić **Dziennik Górnośląski**, odbijany w Drukarni Heneczka w Piekarach. Dziennik ten wychodził co środę i sobotę. Od Nowego Roku 1849 drukował go Karol Kirsz w Bytomiu w tych samych rozmiarach co Heneczek, w formacie ćwiartki gazetowej o 4 stronach. Przedpłata wynosiła 15 czeskich ćwierćrocznie. Redaktorami tego pisma byli po kolei Mierowski, Smolka, Lompa, na sam koniec Józef Łepkowski. Dziennik Górnośląski był pierwszą gazetą narodowo-polską na Śląsku. Stosownie do ówczesnych prądów rewolucyjnych był czasami niby to radykalny, bo ogłaszał odezwy ówczesnych lig i komitetów, przyjmował i przedrukowywał artykuły z „Wielkopolanina“, ale w rzeczywistości był tylko dzieckiem swoich czasów, i to dzieckiem dosyć grzecznym i spokojnym. W 8 numerach Dziennika Górnośląskiego ogłosił Lompa „Krótki rys piśmiennictwa polskiego na Śląsku“, a w 17 numerach „Powieści gminne śląskie“, krótkie, zajmujące i po prostu opowiadane legendy. Heneczek zaprzestał dalszego wydawania tej gazety, prawdopodobnie ze względu na duchowieństwo, którego poparcia potrzebował do swych wydawnictw, a które we większej części niechętnie patrzało na ruch rewolucyjny i na wyraźną dążność narodowo-polską.

Tegoż samego roku 1848 począwszy od 7 października zaczął wydawać ks. Jan Alojzy Ficek **Tygodnik Katolicki** lub **Tygodnik Mariański** (pismo Towarzystwa Mariańskiego), założonego dla obrony wiary świętej zachowania moralności chrześcijańskiej i przestrzegania przykazań boskich i kościelnych). Odpowiednio do tego celu Towarzystwa redagowano także **Tygodnik Katolicki**. Zamieszczano w nim pouczenia religijne, rozprawki moralne, przykłady z życia świętych i wiadomości z bieżącego życia katolickiego. Pisywali je przeważnie księża (Ficek Laksy, Stabik, Purkop, Perzych i inni). Rzeczywistym redaktorem Tygodnika był jezuita o. Peterek. Ks. Antoniewicz w liście do księżny Sapieżyny tak pisze o tym piśmie (ks. Baden: Życiorys ks. Antoniewicza, Kraków 1896): „Napotkaliśmy w Tygodniku najwięcej artykułów ogólnej religijnej treści ... Są tam przecież i rozmowy obyczajowe dla włościan, i prace naukowe lub historyczne zajmujące, np. Marzana (ks. Laksy). Najsłabszą stroną Tygodnika jest strona polityczna.“ Tygodnik wychodził co sobotę i kosztował na poczcie dziewięć czeskich i sześć fenigów ćwierćrocznie. Już po 2 latach w 1858 roku przestał Tygodnik wychodzić z powodu nałożonych na czasopisma (kaucji wymaganej nową ustawą od wydawców czasopism), jak niemniej z powodu niedostatecznej ilości przedpłacicieli.

Równocześnie z Dziennikiem Górnośląskim i Tygodnikiem Katolickim, w latach 1848 i 1849 wychodził w Oleśnie nakładem F. Kunerta **Telegraf Górnośląski**, „tygodnik dla pospólstwa, wyćwiczenia i objaśnienia ludu“, redagowany przez Józefa Lompę. Nazwę Telegraf przez szybkość prądu elektrycznego obrał ruchliwy pracownik na polu literatury Lompa, aby oznaczyć, że chce ziomków swoich szybko powiadomić o sprawach ważnych całego świata. Czy mu się to udało, nie wiemy.

Według zapowiedzi „Przeglądu Poznańskiego“ postanowił Lompa wydawać w Lublińcu „**Przewodnik Wiejski**“, ale na to jego własne siły nie wystarczyły, a zamiast skupiać siły koło istniejącej gazety, rozpoczął je. I tak w roku 1849 zaczyna wychodzić w Opolu u Weilshausera **Gazeta Polska dla Ludu Wiejskiego**, wydawana z polecenia Rządu za sprawą ks. Bogedaina nadwornego radcy przy Regencji Królewskiej w Opolu. W piśmie tym ks. Bogedain rozbierał współczesne sprawy religijne i polityczne. „Doświadczywszy jednak, że lud mało czyta jego pisemko, zajął się ks. B. badaniem niechęci do czytania .... i stwierdza, że dzieci czytają mechanicznie tak po polsku jak i po niemiecku, nie rozumiejąc treści jednego ani drugiego.“ (Kalendarz katolicki 1901 roku).

Józef Król.

Krótkie spięcia

Ot tak sobie

Jak było do przewidzenia, felieton p. t. „Niejaki X — jako taki“ spotkał się w „Rzeczpospolitej“ z odpowiedzią Osoby Wilczek, zatytułowaną „Dzielny torreador p. Niejaki X“.

Nie było jednak do przewidzenia, że odpowiedź będzie aż taka. To znaczy, że wśród bardzo wielkiej ilości wszelkiego rodzaju inwektyw znajdzie się m. in. i tego rodzaju sympatyczne zdańko:

„Można na to odpowiedzieć, że nie musi się reagować na każdy atak kadżego durnia, co m. in. udowodnimy, nie odpowiadając na ewentualne kolejne „pyskówki“ p. Niejakiego X-a.“

No mój Ty Panie Boże — cóż robić, jak jestem durniem, to trudno. Ale ponieważ już jestem tym durniem, więc napiszę tutaj całkiem durno, cytując słowa pewnego wielkiego durnia, niejakiego Jana Kochanowskiego:

„Cóż po muzyce tępym osłom w stajni?
Graj im na lutni — tańczyć nie zwyczajni . . .!“

Wszystkim innym durniom wyjaśniam — zaznaczając, że to durne wyjaśnienie absolutnie nie dotyczy czcigodnej Osoby Wilczek — iż chodzi w owym durnym dwuwierszu o podkreślenie takiej durnej okoliczności:

Nie warto nigdy polemizować z kimś, kto się na tym nie zna, tak jak nigdy nie ma sensu — robić do kredensu.

NIEJAKI X.

Dnia 12 listopada r. b. odbyło się POSIEDZENIE JURY KONKURSU, ogłoszonego przez P. P. „FILM POLSKI“, na

scenariusz filmowy

dla uczczenia pamięci wielkiego muzyka Fryderyka Chopina w stuletnią rocznicę jego śmierci. Obradom Jury przewodniczył minister Leon Kruczkowski, a wzięli w nich udział, jako członkowie: reż. Antoni Bohdziewicz, reż. Aleksander Ford, dyr. Aleksander Jackowski, dyr. Stanisław Kołodziejczyk, prof. Wacław Kubacki, dyr. Bolesław Nowicki, dyr. Zygmunt Mycielski i dyr. Jerzy Toeplitz. Z nadesłanych na Konkurs 97 prac, w tym 14 zagranicznych, zakwalifikowano we wstępnej selekcji 14 scenariuszy. Jury w wielogodzinnej dyskusji omówiło prace zakwalifikowane i zdecydowało:

1) **Pierwszej nagrody nie przyznawać, ponieważ żadna z nadesłanych prac nie jest scenariuszem filmowym, który bezspornie nadawałby się jako podstawa do realizacji filmu pełnometrażowego o Chopinie. Należy liczyć się z tym, że wiele z prac zarówno nagrodzonych jak nawet pewne fragmenty prac nienagrodzonych, posłużą jako materiał do napisania ostatecznego scenariusza.**
2) **Drugą nagrodę w wysokości 200.000 zł. postanowiono przyznać scenariuszowi p. t. „Niezatarte ślady“ — Godło „Anamnezia“. Po otworzeniu koperty okazało się, że autorem scenariusza jest p. Stanisław Hadyna, zam. w Wiśle.**
3) **Trzecią nagrodę w wysokości 150.000 zł. postanowiono przyznać scenariuszowi p. t. „Brzask Sławy“ — Godło „Jest jedna kolumna w Warszawie“. Ze względu na drobną różnicę głosów, która zdecydowała o przyznaniu drugiej nagrody scenariuszowi „Niezatarte ślady“ — Jury zdecydowało podnieść wysokość III nagrody ze 100.000 zł. do 150.000 zł. — dla zaznaczenia małego odstępu, jaki dzieli dwie nagrodzone prace. Po otworzeniu koperty okazało się, że autorką scenariusza p. t. „Brzask Sławy“ jest p. Hanna Ogulewicz, zam. w Częstochowie.**
4) **Pozostałą sumę nagród w wysokości 250.000 zł. Jury postanowiło postanowiło podzielić, przyznając dwa wyróżnienia po 75.000 zł. i dwa po 50.000 zł. Po 75.000 zł. otrzymują następujące prace: a) scenariusz p. t. „Pieśń z nad Utraty“ — Godło „Ludka“, autor Tadeusz Kassern, zam. w New Yorku i b) „Garść polskiej ziemi“ — Godło „C. S. R.“, autor inż. Miro Prochazka, zam. w Bratislawie. Po 50.000 zł.: a) scenariusz „Fryckowe czasy“ — Godło „Sąsiad“, autor Teodor Goździewicz, zam. w Łowiczu i b) „Pan Chopin opuszcza Warszawę“ — Godło „Sztambuch“, autor Janina Siwkowska, nie podała adresu. Ostatnią z wymienionych prac Jury postanowiło wyróżnić ze względu na jej wysoki poziom literacki i doskonałą dokumentację.**
5) **Jury postanowiło również podziękować p. Georges Cay za przysłanie interesującego odczytu o Chopinie, który nie mógł ubiegać się o nagrodę, nie odpowiadał bowiem warunkom konkursu.**

Jury wyznaczyło dzień 29 listopada r. b. godz. 17-ta jako termin uroczystego rozdania nagród, które odbędzie się w lokalu Dyrekcji Naczelnej P. P. „Film Polski“ w Warszawie przy ul. Puławskiej 61. (81)

Wierny okręt

Najmłodszym działem naszej twórczości jest literatura reportażowa o tematyce morskiej. Podczas gdy w całej niemal Europie ukazują się liczne prace pozwalające czytelnikowi zbliżyć się do zagadnień wojny morskiej u nas czyni się na razie nieśmiałe kroki, chociaż udział naszych sił morskich w kampanii 1939—45 r. daje szerokie pole do popisu. Po cyklu opowiadań Fiedlera pt. „Dziękuję Ci kapitanie“ i Papugi „Szczury morskie“ mamy do zanotowania nową podobną pozycję stanowiącą podobnie jak poprzednie przedruk wydania emigracyjnego w Anglii. Jest to cykl reportaży kapitana Józefa Bartosika „Wierny Okręt“. *)

Rzecz zasługuje na dłuższe omówienie. Przede wszystkim po raz pierwszy dotyka życia i walki naszych okrętów wojennych, podczas gdy poprzednie zajmowały się akcjami statków handlowych. Bohaterami są trzy znane okręty polskie OORP. „Orzeł“, „Garland“ i „Błyskawica“, które urastają do symbolu zawsze wiernych i wszędobylskich bojowników z niemiecko-włoską potęgą morską. Ludzie schodzą na drugi plan i zespalają się ściśle ze stalowymi kadłubami, żyją jedną myślą i stanowią niejako cząstkę duszy okrętu. Zdaje im przewodzić znane hasło conradowskie umieszczone na „Idei“ — „Czyń lub giń“. Łatwo jest w takich warunkach wpaść w deklamację patetyczną lecz autor „Wiernego okrętu“, jak przystało na dobrego nawigatora, szczęśliwie naogół tego unika, manewrując zręcznie między Scyllą podniosłego tonu a Charybdą realizmu batalistycznego. Nie czyni więc z naszych okrętów jednostek pływających wyłącznie szlakiem zwycięstwa ani też nie każe czytelnikowi przedzierać się z mozołem przez odmęty szczegółów technicznych.

Opowieści Bartosika mówią przede wszystkim o tajnikach nowoczesnej wojny morskiej, o konwojowaniu transportowców przez Atlantyk i morze Śródziemne, o perypetiach okrętów walczących z trudnościami nawigacyjnymi i całą plejadą środków bojowych przeciwnika. Odkrywają mechanizm działania broni morskich, ruchów eskadr okrętowych i „morale“ załóg okrętowych. Dowiadujemy się o stosunkach panujących między marynarką polską a brytyjską i francuską, o nienasyconej żądzy spotkania z nieprzyjacielem i zmierzenia się z nim. Mamy wreszcie i troski i kłopoty marynarzy polskich w obcych portach, drobne i poważne. „Wierny okręt“ zawiera ponadto szereg artystycznych opisów morza, żeglugi i portów.

Po lekturze Bartosika nasuwa się mimowoli porównanie z niemieckimi wydawnictwami reportażowymi, które ukazywały się w czasie wojny i były w zasadzie dostępne polskiemu czytelnikowi. Różnice są uderzające. Niemiecka literatura reportażowa była przede wszystkim jednym ze środków propagandy. Podkreślała z nadzwyczajną skrupulatnością wszystkie bojowe sukcesy, odurzała czytelnika ich łatwością i sugerowała wielkie naturalne zdolności wojenno-morskie u marynarzy niemieckich. Opisywała wszystkie pomysłowe sztuczki, jakimi rzekomo okręty niemieckie wprowadzały w błąd nieprzyjaciela. Unikała zaś starannie szczegółów, dotyczących niepowodzeń lub strat własnych.

Oczywiście wynikała z tego monotonność toku opowiadania, powtarzanie motywów i jednolity ton narratorów.

Dowódcy niemieckich okrętów podwodnych ze znanym kapitanem Prienem silili się niewątpliwie pod wpływem poczucia winy na zaznaczanie rycerskiego charakteru prowadzonej przez siebie walki i rzekomą troskę o los rozbitków z zatopionych okrętów i statków.

Oczywiście o ambicjach literackich autorów nie mogło być mowy.

W ten sposób polski cykl reportaży morskich ma większą trwałość i nie potrzebuje obawiać się dezaktualizacji. Daje nadto bogate tworzywo pisarzom, którzy na kanwie rzeczywistych opowieści mogą snuć motywy morskie i rozbudowywać je wszelkimi środkami artystycznymi.

Kilka fotografii uplastycznia niektóre fragmenty opowiadań. „Wierny okręt“ jest niewątpliwie najlepszym osiągnięciem naszej literatury reportażowo-morskiej.

Józef Modrzejewski.

---

*) Wyd. Instytut „Kolumna“ w Warszawie 1948, str. 207.

Wyd. „Czytelnik“, 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry“. Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik“. Złożono i odbito w drukarni nr 9, Sp. Wydawn. „Czytelnik“, Katowice 3 Maja 12. Tel. 309-73, wewn. 08
R 60516